CENA 60 GR.

MÓJ PRZYJACIEL

ROK V
№ 8

PODROŻE
PRZYGODY
NAUKA

MIESIECZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA = SIERPIEŃ = 1928



KOMUNIKAT.

Wkrótce wyjdzie z druku

Repetytorjum z pedagogiki i dydaktyki

Opracowane na podstawie podręczników ściśle według wymagań egzaminacyjnych M. W. R. i O. P. przez J. Marjańskiego.

Wyżej wymienione Repetytorjum stanowi II tom Bibljoteki Repetytorjów Pedagogicznych, mających ułatwić adeptom zawodu nauczycielskiego złożenie egzaminu państwowego. Pierwszy tom zawierał skrót Historji Wychowania. Niniejsze repetytorjum zawiera w zwięzłej a ścisłej formie cały materjał, wchodzący w zakres wymagań egzaminacyjnych z pedagogiki i dydaktyki. Pedagogika obejmuje skrót podręcznika prof. **Ziemnowicza** i książek, zaleconych do przeczytania przez Komisję Egzaminacyjną. Czytelnik uzyskuje możność spełnienia nietylko minimum wymagań egzaminacyjnych, lecz i maksimum; podane tu są bowiem obie książki **Foerstera „Szkoła i charakter" i „Wychowanie i samowychowanie"** jako odrębne całości.

Dydaktyka zawiera skrót podręcznika **prof. Zarzeckiego** uzupełniony przez Regenera i niektóre monografje, przyczem uzupełnienia te podajemy drobnym drukiem, ażeby czytelnik miał zawsze na oku rzeczy podstawowe.

Zdając sobie sprawę z tego, że kandydat powinien posiadać również materjał, który przepisy ministerjalne uznają za „pożądany", podajemy skrót **„Pojęcia Szkoły Pracy" Kerschensteinera.** Ta niewielka książeczka zawiera więc w formie ścisłej materjał 4 podstawowych dzieł i niektórych monografij; daje on możność w krótkim czasie gruntownego przygotowania się do egzaminów.

W najbliższym czasie ukażą się: t. III Bibljoteki Repetytorjow Pedagogicznych, zawierający skrót psychologji pedagogicznej, i t. IV — organizacji szkolnictwa. Będzie to więc całość wiadomości, wymaganych przez t. zw. egzamin pedagogiczny.

Wydawnictwo
„POMOC SZKOLNA" H. Wajnera
Warszawa, Bielańska 5.

MÓJ PRZYJACIEL
PODRÓŻE — PRZYGODY — NAUKA

Rok V. Warszawa, sierpień 1928 Nr. 8.

Co przyszłość przyniesie ludzkości.

Czego ludzkość może oczekiwać od przyszłości?—oto pytanie, które zadał jeden z dziennikarzy londyńskich wybitnemu uczonemu angielskiemu, sir Oliver Lodge. Uchodzi on za najznakomitszego fizyka Wielkiej Brytanji. Jego sława jest tak ugruntowana, że nie potrafił jej przyćmić nawet fakt, iż Oliver Lodge w ostatnich czasach przeszedł do obozu spirytystów i stał się jednym z apostołów ruchu spirytystycznego w Anglji.

Sir Oliver Lodge oświadczył zdecydowanie, że jest optymistą i ma niezłomne przekonanie, iż przyszłość ludzkości ukształtuje się o wiele wspanialej, aniżeli mogą to sobie wyobrazić najbardziej nawet fantastyczni pisarze w swoich różowych snach. Żyjemy w okresie przejściowym, w którym przejawiają się pewne symptomy, usprawiedliwiające ten optymizm.

Można powiedzieć, że teraz dopiero ludzkość odkryła ziemię. Zaczynamy pojmować ziemię jako całość. Dzięki olbrzymim postępom techniki komunikacyjnej, oddalenie pomiędzy poszczególnemi punktami kuli ziemskiej staje się coraz mniejsze. Dla nas, mieszkańców Warszawy, są dziś Nowy Jork, San Francisko czy Pekin o wiele bliższe, aniżeli był Paryż przed 50-ciu laty. Fakt ten wywiera niedoceniony może jeszcze wpływ na pokolenie, które obecnie wzrasta. Dla młodzieży dzisiejszej „kula ziemska"— to już nie słowa, ani pojęcie, lecz żywa rzeczywistość.

Ewolucja, której obecnie jesteśmy świadkami na każdem polu, sięga daleko poza granice kuli ziemskiej. Zaczynamy dziś coraz bardziej odczuwać i przekonywać się, że nie my sami tylko istniejemy na wszechświecie, lecz że wkoło nas muszą istnieć światy, które może posiadają jeszcze wyższe życie, aniżeli my tu na ziemi.

Przedewszystkiem uświadamiamy sobie coraz wyraźniej, że materja, świat materjalny, który ogarniamy pięciu naszemi zmysłami, jest tylko drobną cząstką rzeczywistości. Poza nami istnieje inny, większy, piękniejszy świat, którego nie możemy ogarnąć bezpośrednio naszemi zmysłami, lecz którego istnienie dziś, w epoce radja, nie da się zaprzeczyć. Świat eteru uwydatnia dziś coraz bardziej swoją potęgę. Nie wiemy jeszcze dokładnie, czem on jest właściwie, a jednak wiemy, że istnieje. Elektryczność, magnetyzm, światło,—wszystko to jest eterem. Przez tysiące i tysiące lat żyli ludzie wpośród oceanu eteru, nie

mając najmniejszego nawet pojęcia, iż odgrywa on olbrzymią rolę w najpotężniejszych zjawiskach przyrody, i że w każdej sekundzie jest czemś w naszem życiu. Żyjemy na progu wielkich czasów, które zaczynają tajemnicę eteru pojmować i odsłaniać. Do czego doprowadzi rozwój wypadków — trudno jeszcze dziś nawet w przybliżeniu przewidzieć.

Fala niepokoju idzie przez świat, jakby cała ludzkość żyła ogarnięta jakąś gorączkową nerwowością. Pesymiści, którzy wszędzie „wietrzą" nieszczęście, widzą w tem symptom starzenia się ludzkości, a przedewszystkiem zmierzchu białej rasy. Nie uznaję tego poglądu. Niepokój nasz — to nie przejaw starzenia się, zniewieściałości i początku zmierzchu, lecz przeciwnie, jest to niepokój młodzieńczości, niepokój zaczynającej się ciekawej wędrówki. Ludzkość była dotąd dzieckiem, a dopiero teraz, u wrót roku 2000, wchodzi w stadjum swojej dojrzałej młodości.

Na końcu swych interesujących horoskopów wyraził sir Oliver Lodge opinję, że nauka i technika (które wedle opinji tchórzów, grożą zmechanizowaniem i wzięciem w niewolę ludzkości), są jedynemi siłami, które tę ludzkość mogą wyzwolić i które pomnożą sumę radości w życiu poszczególnych jednostek.

* * *

Zagadnienia poruszone przez wielkiego uczonego nie są zapewne obce stałym czytelnikom naszego pisma. Przeciwnie, niejeden z czytelników zwróci uwagę, że wiele zasadniczych momentów przytoczonego wyżej wywiadu stanowiło tematy, najczęściej poruszane na łamach „Mojego Przyjaciela".

W artykułach naprz. technicznych, omawiających możliwości podróży międzyplanetarnych, przyświecała nam zawsze myśl o zdobyciu przez człowieka dostępu do innych nieznanych mu światów, o kulturze możliwie o wiele przewyższającej nasz skromny szczebel ziemski. W licznych artykułach, poświęconych ciekawym momentom z życia zwierząt, kładliśmy zawsze nacisk na psychikę istot czworonożnych, odrzucając stanowczo pogląd, jakoby człowiek miał być jedynem stworzeniem o rozwiniętem życiu psychicznem, losem zaś innych istot jest — pozostanie na zawsze na najniższym, nie podlegającym ewolucji szczeblu rozwoju. Zresztą poglądowi podobnemu najskutecznniej kłam zadaje współczesna nauka, która nie neguje zjawisk psychicznych nawet u roślin. Nie podzielając wreszcie poglądów spirytystycznych, nie obawialiśmy się zamieszczenia wiadomości o zjawiskach nieco ironicznie zwanych „nadprzyrodzonemi", albowiem równą ignorancję ujawnia ten, kto podobne zjawiska w czambuł neguje, jak i ten, kto ich egzystencji „naukowo" dowodzi, podczas gdy nauka w danym wypadku, jak to jeszcze wielki Kant dowiódł, nie mówi ni „tak", ni „nie", lecz tylko skromnie, „nie wiem"...

Ale nie o stronę naukową i hipotetyczną nam chodziło, gdy umieściliśmy wywiad z sirem Oliver Lodgem. Chodziło nam o myśl przewodnią, zasadniczą jego wywodów, oświetlającą je wewnętrznym blaskiem miłości do ludzkości, jako jedynej i wielkiej całości, o jego świątły optymizm i wiarę w szczęście przyszłych pokoleń, które zamieszkiją ziemię. Na ponurem tle antagonizmów narodowościowych i politycznych, brzemiennych groźbą nowych niszczycielskich kataklizmów, ciepłem światłem słonecznem promieniują spokojne, mądre słowa wielkiego szermierza wyzwolenia i szczęścia ludzkości.

B. Nowicki.

G. E. STUART-REID.

Goryl z Ubangi.

Dokończenie noweli o tragedji dwóch „leśnych ludzi" w puszczy Afryki Centralnej, rozpoczęlej w poprzednim numerze „Mojego Przyjaciela".

Skuliwszy się nad ciemną włochatą postacią, rozpostartą na ziemi, goryl wyrażał całą swą postawą najgłębszą rozpacz. Jęczał i raz wraz uderzał się ręką w pierś. Byłem oddalony odeń wszystkiego kilkanaście metrów. Widziałem wyraźnie dwie błyszczące łzy, które się stoczyły po jego czarnej, okrytej włosami, twarzy. Goryl ujął delikatnie głowę martwej towarzyszki i, odgarnąwszy długie czarne włosy, zdawał się coś mówić do niej żałosnym tonem, jakby ją prosząc, by doń przemówiła. Nie otrzymawszy odpowiedzi, ułożył zpowrotem jej głowę na ziemi. Rozległy się jęki i znowu ujrzałem łzy, staczające się wolno po jego policzkach.

Przyglądałem się, jak zaczarowany, temu zwierzęciu. Czułem ku niemu wielką sympatję, pomieszaną z żałością. Trzymałem w ręku nabitą strzelbę. Zaledwie kilkanaście metrów dzieliło mnie od bestji. Jedno lekkie naciśnięcie cyngla, a zakończyłby się żywot goryla, i jednocześnie strach paniczny, wzbudzany przezeń w Ubangi.

Odczuwałem prawie współczucie dla nieszczęśliwego zwierzęcia, w którego zmienionych rysach wyraźnie czytałem ból i cierpienie. W żaden sposób zdobyć się nie mogłem na to, aby z zimną krwią zastrzelić goryla, chociaż to było właściwie celem mojej dalekiej i uciążliwej podróży. Aczkolwiek zdawałem sobie dokładnie sprawę z przykrości, jaką niewątpliwie odczują poddani naczelnika Obaana na skutek powziętej przeze mnie decyzji, odeszłem w krzaki i razem z Bullo wróciłem do wsi. Tam doszły mnie straszliwe wieści o znalezieniu zwłok szyldwacha Makuloo. Trup jego leżał kilkadziesiąt metrów poza ogrodzeniem. Był okropnie pokiereszowany i poszarpany.

Śmierć biednego Makuloo zmusiła mnie do porzucenia wszelkich sentymentów. Trzeba było raz wreszcie



Jeden z pomocników autora, myśliwy Makuloo, rozszarpany następnie przez goryla.

uwolnić nieszczęsnych mieszkańców Ubangi od okrutnego mściciela. Pomimo to nie żałowałem, żem go nie zabił dzisiejszego poranka. Wyruszyłem więc (a było już dobrze po południu) znów na poszukiwanie goryla. Tym razem bez Bullo, albowiem wiedziałem już, gdzie można znaleźć goryla. Przybywszy na polanę nie zastałem zwierzęcia, ale wrzaski małp i krzyki ptaków zorjentowały mnie co do kierunku, w jakim bestja mogła się udać.

Po dość długich i energicznych poszukiwaniach, błądząc w gęstem podszyciu leśnem, które oczywiście dla goryla przeszkodą nie było, podczas gdy mnie podrapało ręce, nogi i twarz, a ubranie porwało na strzępy, —przybyłem wreszcie do długiego wąwozu o stromych zboczach porosłych krzakami kolącemi. Jakie sto metrów dalej nad brzegiem potoku, rwącego chyżo po skałach, stała wielka małpa. Zażywała pewnie kąpieli, ponieważ woda spływała jej łagodnie z długich włosów okrywających ciało, twarz i ramiona. Spojrzała na mnie w tej samej chwili, kiedy zjawiłem się na polance, wynurzając się z za krzaków.

Goryl uderzył się przedniemi łapami w pierś, wydał głębokie westchnienie i, przechyliwszy się na bok i opierając na jednej ręce, zaczął szybko zbliżać się ku mnie. Wymierzyłem w głowę, ale zorjentowawszy się momentalnie, że kula może się ześlizgnąć po pochyłej czaszce, zmieniłem cel i strzeliłem w ramię.

Potwór ryknął wściekle z bólu, przechylił ciało w stronę nieuszkodzonego ramienia i posuwał się dalej naprzód. Znów wystrzeliłem, tym razem w ramię, na którem się opierał. Strzał okazał się celny. Goryl podniósł się na tylne łapy i skoczył ku mnie. Zdecydowany już byłem wymierzyć mu *coup de grâce*, ale w chwili, kiedy nacisnąłem cyngiel, zwierzę schyliło się i kula miast przebić serce, wyżłobiła długą brózdę pod klatką piersiową rozdzierając gorylowi brzuch. Zwierzę zatoczyło się i padło na kolana, ale wnet się podniosło i w kilku susach znikło wśród krzaków wąwozu.

Było zbyt późno, aby niezwłocznie udać się na poszukiwanie śladów goryla. Mrok mógł bowiem wcześniej zapaść, zanim zdążyłbym powrócić do wioski. Odłożyłem przeto polowanie do jutrzejszego poranka. Byłem pewny, że goryl jest zbyt ciężko raniony, aby był w stanie odejść daleko. Wydawało mi się również, że nie pozostawi swej towarzyszki na czas dłuższy. Było mi jednak niewymownie przykro, że goryl noc całą cierpieć będzie męki fizyczne i, o czem nie można wątpić, duchowe. Powziąłem dla goryla wielkie uczucie sympatji, która opierała się przedewszystkiem na niezłomnem przekonaniu, że nie są mu obce uczucia i wzruszenia, przypisywane zwykle jedynie przedstawicielom rodu ludzkiego. Bądź co bądź z niekłamanem uczuciem żalu oznajmiłem naczelnikowi Obaana wieść o swem częściowem powodzeniu.

Po kąpieli posiliłem się gotowanem kurczęciem i pieczystem z koźlęcia. Wszystko zapadło w ciemność i jakieś martwe milczenie zapanowało wokoło, stanowiąc dziwny kontrast z niezliczonemi dźwiękami dnia. Dalszych wizyt goryla nie obawiałem się, rozumiejąc, że po otrzymaniu tak poważnych ran, nie zdoła przeskoczyć ogrodzenia ani wdrapać się na drzewa. Wobec tego zaniechałem ustawienia warty. Dwóch Ubangijczyków dyżurowało jednak: jeden przy bramie, a drugi wewnątrz ogrodzenia.

Położywszy się na łóżku polowem, zasnąłem niezwłocznie. Wtem ktoś pociągnął mnie za ramię. Nad łóżkiem nachyliła się jakąś drżąca postać. Był to Ubi.

— Słuchaj, kapitanie — szepnął głosem przejmującym jakąś niesamowitą zgrozą. — Goryl... kapitan go nie zabił! On wciąż opłakuje samicę. Chyba, że duch jego nawiedził nas, aby siać przestrach śród biednych murzynów...



Łapa goryla, łudząco przypominająca rękę ludzką.

Zacząłem się przysłuchiwać. Usłyszałem te same jęki, co i wczoraj. Były one jednak teraz znacznie słabsze i przerywane. Zaczęło już świtać kiedy szybko się ubrałem, zarzuciłem karabin na ramię i opuściłem zagrodę w towarzystwie Ubi'ego. Dążyłem w kierunku polany, gdzie poprzedniego poranka widziałem goryla. Znaleźliśmy się wreszcie na skraju rzadkiego lasu. Rozchyliwszy gałązki, które zasłaniały nam widok, ujrzałem ostatnią scenę tragedji goryla.

Przywarł do zwłok towarzyszki. Jęczał i coś do niej przemawiał, tak jak to czynił dnia poprzedniego. W jego zamglonych oczach wyczytałem bliski koniec. Nie mogąc dłużej znieść tego wzroku, podszedłem do nieszczęśliwego zwierzęcia i wycelowałem wprost w serce. Goryl padł momentalnie trupem. Odwróciłem się... Wyznam szczerze, miałem uczucie, że popełniłem morderstwo.

Oddawna już marzyłem o tem, aby zdobyć głowę potężnego goryla, jako trofeum. Tu zaś były przede mną dwa najdoskonalsze okazy, jakie udało mi się kiedykolwiek widzieć. Nie miałem jednak zamiaru zabrać ich z sobą. Gorylom należał się inny pogrzeb.

Ziemia w lesie była dość miękka. Dużym nożem myśliwskim zacząłem kopać dół... Ubi pomagał mi swym oszczepem. Wkrótce grób był gotów. Znalazła w nim spoczynek para goryli, której nawet śmierć nie rozłączyła. Następnie poleciłem kilku moim tragarzom przynieść z wąwozu kamienie, z których ułożyliśmy prymitywny pomnik. Sentymentalne bzdurstwo, powiecie... Co do mnie jednak, uważałem, że ciąży na mnie obowiązek wobec tych leśnych ludzi.

* * *

A więc małpy myślą i kochają, doznają uczucia nadziei i strachu, zupełnie tak jak my, ludzie?

Niech każdy odpowiada na to pytanie podług swego uznania. Co się mnie tyczy, to, opierając się na powyższem niezapomnianem przeżyciu, powiem z ręką na sercu: tak!



Ostatni akt dramatu — goryl zabity!

NA SZCZYTY!

(Od specjalnego korespondenta „MOJEGO PRZYJACIELA").

ZAKOPANE, w lipcu.

W samem sercu Zakopanego, w punkcie, gdzie stykają się arystokratyczna ulica Zamoyskiego, dzielnica Bystre i droga do Kuźnic oraz do Bogówki znajduje się „Dom Wycieczkowy".

Wpobliżu tej skromnej ale tak licznie odwiedzanej willi znajduje się pomnik doktora Chałubińskiego, tego Kolumba, który odkrył Zakopane, uroczą tatrzańską dolinę. Tylko to odkrycie nie pociągnęło za sobą ruiny pierwotnych mieszkańców, jak to miało miejsce w kolonjach hiszpańskich. Przeciwnie, górale tatrzańscy, którzy dawniej cierpieli głód, zdołali wznieść się na dość wysoki szczebel dobrobytu. Obeznani doskonale z krainą podgórską i Tatrami, są oni nieocenionymi przewodnikami.

Ale przewodnik to jeszcze nie wszystko. Już zdawna odczuwać się dawał brak schronisk w górach, a przedewszystkiem w samem Zakopanem, jako punkcie wyjścia dla turystów. Ta życiowa potrzeba powołała między innemi do życia wyżej wzmiankowany „Dom Wycieczkowy".

Drewniany ten budynek piętrowy, nie imponujący okazałością w „letniej stolicy", ozdobionej tyloma pięknemi gmachami, był dawniej siedzibą Muzeum Tatrzańskiego, założonego przez rodzinę Chałubińskich. Dziewięć lat temu muzeum to przeniesione zostało do innego gmachu, a budynek sprzedany za cenę nader umiarkowaną Towarzystwu Krajoznawczemu, które zorganizowało tam ognisko, mające na celu ułatwienie turystyki.

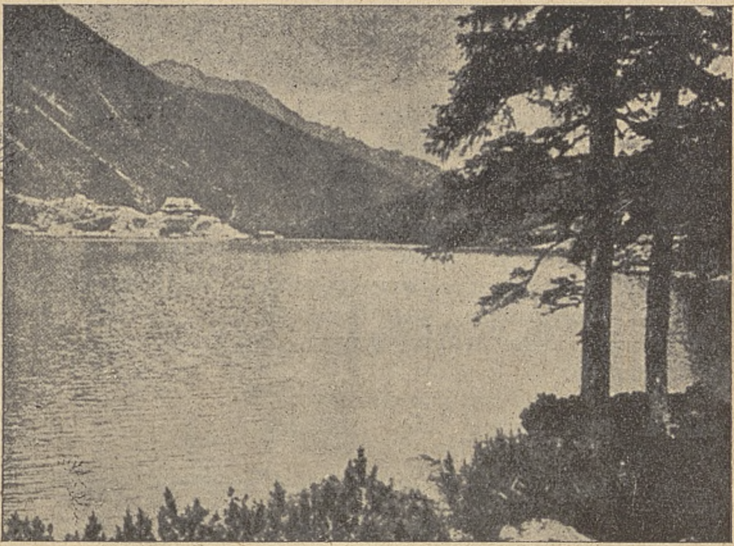
Dom Wycieczkowy dba zarówno o danie turystom dachu nad głową, jakoteż o świeży a pożywny dla nich posiłek, a wszystko za niewielką i dla każdego przystępną cenę. Znajdują się tam cztery sale, dwie o dziesięciu i dwie o piętnastu łóżkach. Nocleg kosztuje dla członków Towarzystwa Krajoznawczego po 1 zł., dla innych po 1 zł. 50 gr. od osoby. Oprócz tego znajdują się tam pokoje gościnne, o 2 — 3 łóżkach w cenie 2 zł. 50 gr. dla członków, a 3 zł. dla innych od osoby. Całodzienne utrzymanie (4 razy dziennie) kosztuje w Domu Wycieczkowym 4 zł., sam zaś obiad 1 zł. 80 gr.

Z instytucji tej korzysta przeważnie młodzież szkolna i nauczycielstwo, chociaż i inne grupy społeczne są tam reprezentowane.

Począwszy od wiosny r. b. frekwencja wycieczek, odwiedzających „Dom Wycieczkowy", wzrasta. Podczas gdy w maju r. b. zanotowano tam trzy wycieczki (szkoła z Warszawy, szkoła handlowa z Poznania i seminarjum nauczycielskie z Bydgoszczy — ogółem 250 noclegów), w czerwcu ilość noclegów wzrasta do tysiąca, przyczem młodzież szkolna rekrutuje się z różnych miejscowości Rzeczpospolitej. Zjawiły się szkoły powszechne z Pabjanic, Radzymina, Łodzi, Warszawy i innych miast. Również w lipcu jest ruch wycieczkowy za pośrednictwem „Domu" nader ożywiony. Przybywają grupy z Żywca, Warszawy, Tarnowskich Gór, Płocka (seminarjum nauczycielskie), cały szereg szkół powszechnych z różnych miejscowości, nauczycielstwo z Poznania i t. d.

Wszystkie wspomniane wycieczki miały za punkt wyjścia ów „Dom

„Wycieczkowy“. A tymczasem nie jest to bynajmniej instytucja, obsługująca specjalnie turystów. To samo zadanie spełniają bowiem nie mniej sprawnie Towarzystwo Tatrzańskie, Schronisko św. Żyty, Schronisko na Hali Gąsienicowej, tudzież cały szereg prywatnych przedsiębiorstw, jak hotel Georges w Bystrem (dzielnica Zakopanego) i w. inn.



Perła tatrzańska — Morskie Oko.

Jeśli nadto zważymy, że dużo jednostek i grup udaje się na wycieczki, nie uciekając się do pomocy instytucyj lub przedsiębiorstw prywatnych, to otrzymamy naogół obraz przedstawiający dość rozwinięty ruch turystyczny w Tatrach.

Bądź co bądź znaczna część turystów korzysta z pomocy wspomnianych instytucyj, co należy uważać za rzecz słuszną, tem bardziej, że samo Zakopane, jako centralny punkt wyjścia wycieczek, wymaga również jednego lub paru dni celem obznajmienia się z samem uzdrowiskiem i bliższą okolicą. Pobyt zaś nigdzie nie wypadnie taniej, jak w owych schroniskach.

Celem zapewnienia sobie wolnych miejsc wskazanem jest, aby kierownictwo szkoły zawczasu zamówiło salę, gdyż może się zdarzyć, że wszystkie pokoje będą zajęte, a grupa znajdzie się w położeniu bezdomnych.

Ale nietylko w samem Zakopanem roztacza się opiekę nad turystami. Hen tam, wysoko w górach rozrzucone są schroniska, gdzie można się posilić ciepłą strawą i znaleźć nocleg.

* * *

Wycieczki nadają Zakopanemu bardzo ożywiony charakter. Puls życia uzdrowiska bije dzięki nim żywszem tętnem.

Na Krupówkach, najbardziej ruchliwej ulicy Zakopanego, spotykają się oto dwie grupy turystów. Przystają. Poczęści z musu, gdyż tamują sobie wzajem przejście, poczęści z ciekawości: taternicy lubią nietylko wdrapywać się na szczyty, ale również pogawędzić i pochwalić się.

Oto ogorzały mężczyzna w średnim wieku, z zawodu nauczyciel, prowadzący wychowańców wyższych klas gimnazjalnych, styka się oko w oko z uśmiechniętym, pewnym siebie blondynem, kierującym wycieczką uczniów szkoły technicznej.

— Czołem! — wita nauczyciel, — Daleko?

— Czołem! — odpowiada technik. — Nie tyle daleko, ile wysoko... Na Granaty.

— Winszuję. Radziłbym jednak trochę ostrożniej z temi turniami.

— Turnie? — blondyn machnął ręką z lekceważeniem.—Brało się 200 metrów jednym susem.

— Na linach? — ironizuje nauczyciel.

— Nie mam zamiaru konkurować z dzikiemi kozłami — odciął się blondyn. — A jeśli pana interesują „Kozie Czuby“, to polecam Orlą Perć.

Obaj kierownicy, nie bardzo zachwyceni tą szermierką słowną, dawali już sygnały do wyruszenia, gdy z boku, z ulicy Kościuszki, prowadzącej do dworca kolejowego, natarła trzecia wycieczka. Szła szkoła powszechna z Warszawy.

Krótkie zamieszanie, ale wreszcie szkoła powszechna się przemyca. Chłopcy, uformowani w dwójki, przechodzą właśnie koło „Morskiego Oka“, tego w cudzysłowie, którą to nazwę nosi znana restauracja w Zakopanem. Nęci ich jednakże Morskie Oko bez cudzysłowu, położone wśród szczytów górskich, którym przygrywa jazz-band wiatrów halnych. W tym też kierunku dąży ta grupa... Z zapałem w duszy i plecakami na barkach... Na szczyty...

Szczęśliwej podróży!

J. Rytewski.

■ ■ ■

L. KRZEMIENIECKA-WOLICOWA

DNI LETNIE

Dni są barwne i świeże, jak wiejski samodział,
Nićmi trawy i nieba przetykane pstrokato,
Przewiewne, jak upały, skąpane w modrej wodzie,
Śpiewające hymn żaru uśmiechniętym kwiatom,

Litanją suchych kłosów i owadzich brzęczeń
Rozmodlone, klęczące na łodyg kolanach,
Dni, jak karty, przez nieba radosne przełęcze
Na stół ziemi rzucone, leniwą dłonią Pana.

WIOSNA NA WSI

Jak miękko jest bosym stopom dotykać jedwabnej trawy!
Jak łatwo jest oczom radosnym zabrnąć na stromy błękit!
Jak lekko jest myślom dojrzewać i coraz zieleńszym się stawać,
i słowom jak łatwo się wiązać w tekst kolorowej piosenki!

Pójdziemy pokorni i cisi polem wieczornem naprzełaj,
by znaleźć w gipsowej kapliczce odwiecznie wiosenną przystań
i poczuć, że nagle gdzieś w sercu się wiara pszeniczna poczęła,
i słuchać nauki źdźbełek, że można jeszcze zmartwychwstać.

NIEPARADOKSALNE PARADOKSY...

Kolekcjonista... odgłosów.

CZŁOWIEK, KTÓRY KUPIŁ ECHO. — 50-CIO KRTONE ECHO W MEDJOLANIE. — TAJEMNICZA WYROCZNIA ZA PARAWANEM. — LUSTRO DŹWIĘKOWE DOMOWYM SPOSOBEM. — BEZSZUMNY TELEFON.

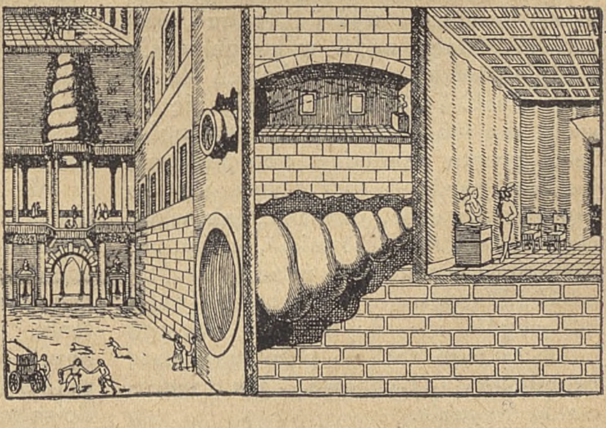
Pomiędzy opowiadaniami znakomitego humorysty amerykańskiego, Marka Twaina, znajduje się zabawna historja o przygodach pewnego dziwaka — kolekcjonisty. Skupował on niezmordowanie wszelkie tereny, które odznaczały się jakiemś nadzwyczajnem... echem. Szczególnie interesowały go odgłosy wielokrotne.

„Najpierw nabył on echo w stanie Georgji, odbijające się cztery razy, następnie sześciokrotne w Maryland, później trzykrotne w Mane. Następnem nabytkiem jego było dziewięciokrotne echo w Cansas i dwunastokrotne w Tennessy. To ostatnie kupione zostało za bezcen, gdyż wymagało remontu: część zbocza skalnego zwaliła się. Kolekcjonista mniemał, że rzecz da się naprawić dobudową. Budowniczy jednak, który podjął się tej roboty, nigdy jeszcze nie łatał echa, które też w końcu zupełnie zmarnował. Co najwyżej mogło się ono teraz przydać chyba dla przytułku głuchoniemych...“

Całe to zdarzenie jest oczywiście wymysłem, ale naogół dziwne echa wielokrotne w samej rzeczy istnieją w rozmaitych, przeważnie górskich, miejscowościach. Niektóre z nich cieszą się nawet sławą wszechświatową.

Oto kilka takich znakomitych terenów odgłosów. W zamku Woodstock w Anglji echo powtarza wyraźnie 17 sylab. Ruiny pałacu Dernburg, pod miastem Halberstadt, dawały 27-krotne echo, które jednak umilkło od czasu, jak jedna ze ścian została wysadzona w powietrze dynamitem. Skały, rozrzucone na dnie doliny wpobliżu Adelsbachu w Czechosłowacji, powtarzają w pewnem miejscu trzykrotnie 7 sylab; ale o kilka kroków od tego punktu nawet wystrzał nie daje żadnego echa. Najbardziej zdumiewające echo można słyszeć w zamku Simonetto koło Medjolanu: wystrzał pistoletowy z okna oficyny powtarzany jest przez echo 40 — 50 razy, a okrzyk — 30 razy.

Nie tak łatwo wyszukać miejsce, gdzie można słyszeć echo wyraźnie, chociażby raz jeden. W Europie



Średniowieczny zamek cudów.

wschodniej i w Polsce przedstawia zresztą wynalezienie takich miejsc niezbyt wielkie trudności. Mamy dość równin, otoczonych lasami, sporo polanek. Wystarczy krzyknąć głośno na takiej polance, aby od ściany leśnej odbiło się mniej lub więcej wyraźne echo.

Ale zato w miejscowościach górzystych, naprzykład w Tatrach, Beskidach i t. p. sprawa przedstawia się odmiennie. W górach echo bywa wprawdzie bardziej urozmaicone, niż na równinach, ale spotyka się naogół daleko rzadziej.

Zastanówmy się teraz, czemu to trudniej usłyszeć echo w miejscowości górskiej niż na równinie, otoczonej lasami?

Rzecz polega na tem, że echo jest to właściwie jedynie ruch powrotny fal dźwiękowych, odbitych od jakiejkolwiek przeszkody. Zachodzi to samo zjawisko, co przy odbiciu światła: kąt padania „promienia dźwiękowego“ równa się kątowi jego odbicia. (Promień dźwiękowy jest to kierunek, biegu fal dźwiękowych).

Wyobraźmy sobie, że znajdujemy się u podnóża góry, przyczem przeszkoda, która ma odbić dźwięk, znajduje się wyżej od nas. Łatwo się domyślić, że fale dźwiękowe, po odbiciu, nie dosięgną naszego ucha, lecz rozpłyną się w przestrzeni. Odmienny nastąpi wynik, jeśli staniemy na jednym poziomie z przeszkodą, lub nawet nieco wyżej (patrz rys.) Dźwięk, idący nadół w kierunku Ca i Cb, wróci ku nam po linjach łamanych CaaC i CbbbC, odbiwszy się od ziemi raz lub dwa razy. *Niskie* położenie gruntu pomiędzy obu punktami jeszcze bardziej przyczynia się do wyrazistości echa, działając, jak wklęsłe zwierciadło. Natomiast, kiedy powierzchnia ziemi jest między punktami C i B *wypukła*, echo będzie słabe lub wogóle nie dojdzie do naszego ucha: takiego rodzaju grunt rozprasza promienie dźwiękowe, jak zwierciadło wypukłe.

Wyszukanie echa na powierzchni nierównej wymaga pewnej wprawy. Nawet po odkryciu odpowiedniego miejsca trzeba umieć wywołać echo. Przedewszystkiem nie należy stawać zbyt blisko przeszkody: pożądane jest, aby dźwięk przeszedł możliwie długą drogę, — w przeciwnym razie echo powróci zbyt wcześnie i zleje się z samym dźwiękiem. Pamiętając, że dźwięk przebiega 349 metrów na sekundę, możemy łatwo obliczyć, że stojąc w odległości 85 metrów od przeszkody, usłyszymy echo po upływie połowy sekundy od chwili wydania dźwięku.

Nie na wszystkie dźwięki reaguje echo jednakowo wyraźnie. Im dźwięk ostrzejszy, im bardziej oderwany, tem echo jest wyraźniejsze. Ujął to obrazowo poeta:

Wszystkim się zdawało, że Wojski [gra jeszcze,
A to echo grało.

„Próbować“ echo, należy klaskaniem w ręce. Dźwięk głosu ludzkiego mniej się do tego nadaje, zwłaszcza głos męski. Wysokie natomiast tony kobiece i dziecięce dają echo bardziej czyste.

* * *

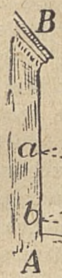
Niech teraz uważny czytelnik dokona innego doświadczenia, które wywoła u widzów poniekąd nastrój mistyczny.

W dwu rogach sali umieszczamy dwa parasole, przedzielone zasłoną z zupełnie suchej tkaniny. Materjał suchy przepuszcza dźwięk, nie odbijając go, wobec czego zasłona nie przeszkodzi działaniu naszego „telefonu“. Należy również zamaskować obecność jednego z uczestników wraz z jego parasolem.

W ognisku drugiego parasola umieśćmy figurkę, która właśnie będzie „wyrocznią“. Osoby niewtajemniczone mogą kolejno podchodzić do „wyroczni“ i zadawać jej szeptem pytania. Ku wielkiemu ich zdumieniu figurka da im również szeptem zupełnie logiczne odpowiedzi, niekiedy dowcipne lub humorystyczne — w zależności od pomysłowości ukrytego aktora.

Budowniczowie zamków średniowiecznych wytwarzali niekiedy tego rodzaju fenomeny dźwiękowe, umieszczając biusty bądź w ognisku zwierciadła dźwiękowego, bądź przy końcu tuby do mówienia, ukrytej zręcznie w ścianie.

Na załączonym rysunku, wziętym ze starodawnej książki (A. Kirchner r. 1560) zauważyć można *ad hoc* skombinowane urządzenie: sufit w kształcie sklepienia przesyła do ust biustu dźwięki, wychodzące z tuby. Olbrzymie tuby, zamurowane w ścianach, przynoszą dźwięki z podwórza do biustów kamiennych, umieszczonych w jednej z sal i t. d.



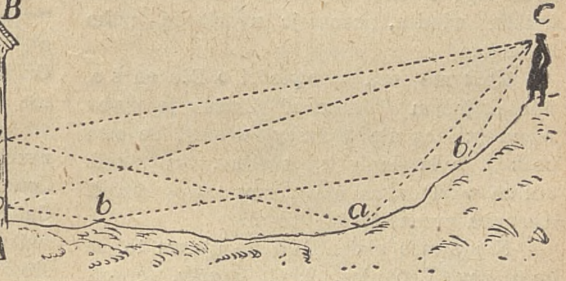
* * *

Ściana lasu, wysoki parkan, budynek, góra, każda wogóle przeszkoda, odbijająca echo, jest właściwie lustrem dźwiękowem: ekrany te odbijają dźwięk tak jak płaskie zwierciadło odbija światło.

Bywa nietylko płaskie zwierciadło dźwiękowe, lecz również krzywe. Wklęsłe zwierciadło dźwiękowe działa zupełnie jak reflektor: ono koncentruje w swem ognisku „promienie dźwiękowe".

Dwa zwykłe talerze głębokie pozwolą nam dokonać pewnego bardzo ciekawego doświadczenia. Ustawmy jeden z talerzy na stole, trzymając w odległości kilku centymetrów od dna zegarek kieszenkowy. Drugi talerz trzymać będziemy na wysokości ucha. Jeżeli zegarek, ucho i talerze są odpowiednio rozmieszczone, usłyszymy chód zegarka wychodzący jakby z talerza, który trzymamy koło ucha. Złudzenie zwiększa się jeszcze, kiedy zamykamy oczy: wówczas faktycznie nie jesteśmy w stanie określić słuchem: w jakiej ręce mamy zegarek, prawej, czy lewej.

Tego samego doświadczenia można dokonać, posiłkując się dwoma zwykłemi parasolami. Zauważono, że zmoczona tkanina dobrze odbija dźwięki, prawie wcale ich nie przepuszczając. Dlatego też mokry otwarty parasol jest dość dobrym reflektorem dźwiękowym. Umieśćmy dwa mokre parasole w pewnej odległości jeden od drugiego, tak aby kijki leżały na jednej prostej linji. Czytelnik niech stanie w głównem ogniku jednego parasola, asystent w ognisku drugiego parasola (obydwa te punkty znajdziemy łatwo po kilku próbach). Obaj



Tak się odbija fala dźwiękowa..

mogą teraz rozmawiać ze sobą zaledwie dosłyszalnym szeptem, podczas gdy osoba trzecia, umieściwszy się pomiędzy niemi, nic nie usłyszy.

Ten specyficzny telefon będzie tak długo działał, póki parasole nie wyschną: tkanina sucha bowiem przepuszcza dźwięki, nie odbijając ich.

* * *

Najczęściej się zdarza, że mylnie określamy nie *odległość*, lecz *kierunek*, w jakim się znajduje przedmiot, wydający dźwięk. Usadowcie kogolwiek pośrodku pokoju, zawiązawszy mu oczy, i poproście go, aby siedział spokojnie, nie odwracając głowy. Weźcie do ręki dwie monety, i uderzajcie je jedną o drugą w różnych punktach pokoju; należy przytem stale pozostawać w imaginowanej płaszczyźnie, która przecina głowę waszego gościa na pół, przechodząc między jego oczami. Niech teraz wasz gość spróbuje zgadnąć, w jakim punkcie pokoju brzęknęły monety. Rezultat bywa niekiedy wprost niewiarygodny. Gość wasz będzie najczęściej wskazywał na punkt przeciwległy prawidłowemu!

A. Jaworski.

LEGENDY HISTORYCZNE W ŚWIETLE NAUKI.

Legenda nimbem czaru lub ciemną zasłoną okrywająca życie wielkich czy możnych tego świata często, jak uczy wszędobylska wiedza, pozostaje naprawdę tylko legendą.

Któż nie zna opowieści o Diogenes'e, mieszkającym w beczce? Znamy ją chyba wszyscy: lecz nie wszyscy wiemy, że ową beczką była lepianka z gliny, ironicznie tak ze względu na dziwaczny swój kształt nazwana przez Ateńczyków.

Najnowsze badania wskazują na to, że heroiczny Leonidas, król Sparty, bronił przejścia termopilskiego przy pomocy dziesięciu tysięcy, a nie jak podaje mit, przy pomocy trzystu wojowników.

Ostatnie słowa Cezara: „I ty Brutusie" dawno zostały obalone orzeczeniem Plutarcha, który twierdzi, że Cezar po pierwszym ciosie padł bez słowa na ziemię.

Kleopatra, królowa Egiptu, podczas wystawnej uczty, urządzonej na cześć Antonjusza, miała jakoby podać temu ostatniemu jako napój drogocenną perłę rozpuszczoną w occie. Przetrwaniu legendy nie przeszkodził fakt, że jeszcze nie istnieje taki ocet, któryby i mniej szlachetną perłę rozpuścić był w stanie. Lecz naiwność ludzka przechowuje tę opowieść i dziś jeszcze w bogatym skarbcu podań pseudohistorycznych. Przepiękna Kleopatra, która jakoby odebrała sobie życie, pozwalając się ukąsić przez jadowitą żmiję, zginęła w rzeczywistości stracona z rozkazu Oktawjana.

Powszechnie znane „Eureka", wyrzeczone przez Archimedesa w chwili gdy odkrywał słynne prawo o pozornej stracie na wadze ciał, zanurzonych w cieczy oraz owo sakramentalne „dajcie mi punkt oparcia a poruszę ziemię" powstały później i zostały przekazane potomności przez Victaviusa, który sam w swej wybujałej fantazji przypisał je genjalnemu fizykowi.

Gdy pamiętnego dnia 22 czerwca roku 1633 Galileo Galilei musiał się wyrzec nauki Kopernika, według której ziemia obraca się dokoła słońca, miał jakoby wtedy wypowiedzieć te słowa: „a jednak ona się obraca". Według badań Wohlwilla, Galileusz słów tych w rzeczywistości nigdy nie wypowiedział.

Po bitwie pod Waterloo przypisano generałowi Cambronne słynne powiedzenie: „gwardja umiera, lecz nie poddaje się". Cambronne sam jednak rozwiał legendę twierdząc, że zamiast przypisywanych mu słów wzywał właśnie w tej chwili lekarza, aby opatrzył jego rany.

Do chwili obecnej sprowadzenie kartofli do Europy przypisywano Franciszkowi Drake. Badania W. C. Lafforda obalają tę legendę nadmieniając że pierwsze „wiadomości ziemniaczane" czerpiemy już od Pedra de Ciezo de Leono z r. 1538.

James Watt jeszcze jako młody chłopiec miał zauważyć podnoszącą się pod działaniem pary pokrywkę czajnika, co naprowadziło go na myśl zbudowania maszyny parowej. Wiemy jednak, że Watt był jedynie tym, który istniejącą już maszynę parową ulepszył.

Większa część opowiadań o Karolu Wielkim i Rolandzie nie odpowiada rzeczywistości.

Wędrówka Karola IV-go do Kanossy była jedynie kunsztownie obmyślonym trickiem dyplomatycznym, a z poniżeniem lub skruchą nic wspólnego nie miała.

Romantyzm narodów otacza czcią lub pogardą ludzi i wypadki, wplatając w pieśń gminną „broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty". Nieczuli na piękno uczeni zrywają listek po listku z postaci urojonych bohaterów ich nadmierne cnoty lub wady i pokazują ich nam w świetle prozaicznej rzeczywistości.

Obserwator.

TO i OWO

Miniaturowy samolot zbudowany w Polsce.

W przeciwieństwie do wielkich zagranicznych samolotów i do wielkich raidów znany lotnik 1 p. lot. w Warszawie, kpt. Babiński zajął się gorliwie najmniejszym samolotem polskim konstrukcji inż. Zalewskiego.

Maleństwo to — podobne raczej do zabawki, niż do samolotu (płat jego wynosi 6 metrów rozpiętości), zostało zbudowane własnoręcznie przez inż. Zalewskiego w Milanówku, a o „domowym" jego wyrobie świadczyć może najlepiej fakt, że inż. Zalewski posługiwał się popularną kuchenką „Primus" do szwejsowania metalowych części maszyny i jej silnika, również konstrukcji inż. Zalewskiego, o sile... 16 koni mechanicznych!

Otóż na tym samolociku i z tym *pierwszym polskim silnikiem lotniczym* kpt.-pilot Babiński dokonał niedawno temu pięknego lotu, wynoszącego około 150 klm. Jest to raid w swoim rodzaju bardzo ciekawy; powinien on wzbudzić duże uznanie zarówno dla konstruktora płatowca i silnika jak i dla mistrza-pilota. Zamierza on w najbliższych dniach poprawić swój rekord.

Wynik plebiscytu literackiego.

Ogłoszony przez „Wiadomości Literackie" plebiscyt: „Dwanaście najsympatyczniejszych postaci literatury polskiej" dał następujące rezultaty:

Największą ilość głosów uzyskał Judym („Ludzie bezdomni", Żeromskiego, 1.404 gł.). Zkolei idą: Zagłoba („Trylogja" Sienkiewicza 1.134 gł.), Joasia („Ludzie bezdomni", 919 gł.), Kmicic („Potop" Sienkiewicza, 783 gł.), Madzia („Emancypantki" Prusa, 708 gł.), Wołodyjowski („Pan Wołodyjowski" 647 gł.), Ryszard Nienaski („Nawracanie Judasza" i „Zmieć" Żeromskiego, 642 gł.), Wokulski („Lalka" Prusa, 583 gł.); Rafał Olbromski („Popioły" Żeromskiego, 557 gł.), Rzecki („Lalka", 547 gł.), Petronjusz („Quo Vadis" Sienkiewicza, 580 głosów).

Lotnik Lundborg, zbawca Nobilego.



W związku z osławioną ekspedycja sterowca „Italja", która pociągnęła, jak wiadomo, wiele ofiar w ludziach, wymieniano często nazwisko młodego lotnika szwedzkiego Lundborga. Dzielny ten lotnik wylądował na lodowcu, i zabrał dowódcę ekspedycji, generała Nobile. Gdy lądował po raz drugi z zamiarem uratowania pozostałych członków wyprawy, samolot został uszkodzony. Lotnik został narówni z innymi więźniem bezkresnych pól lodowych. Po kilku dniach jednak uratował go kolega, któremu się udało powtórzyć dzielny czyn Lundborga, lądując i startując szczęśliwie na pływającej krze.

W piłce przez Niagarę.

Kilka dni temu niejaki John Losier, obywatel miasta Springfield w Stanach Zjednoczonych, szczęśliwie stoczył się z urwiska wodospadu Niagara, siedząc wewnątrz wielkiej piłki gumowej.

Losier rozpoczął swą podróż od skały „Podkowa", znajdującej się przy wybrzeżu kanadyjskiem i mającej 160 stóp wysokości.

Telegram z Ameryki komunikuje, że kiedy piłkę wyciągnięto z wody, Losier znajdował się wi stanie nieprzytomnym. Doktorzy musiel porządnie napracować się zanim ocucili śmiałego sportowca. Na obydwóch brzegach Niagary olbrzymie tłumy śledziły przeb eg podróży Losier. Gdy piłka, unoszona prądem, zaczęła odbijać się od skał i pods kiwać wysoko w powietrze, tłumy zamarły w napięciu.

Dopłynąwszy do urwiska, piłka znikła w obłok ch piany, i nie pokazała się na powierzchni w ciągu kilku minut. Wszystkich ogarnął niepokój. Wkrótce jednak piłka wypłynęła kilkaset metrów niżej wodospadu.

Niejakiemu Williamsowi Hill udało się przyholować piłkę do wybrzeża kanadyjskiego. Dzięki temu piłka że nie trafiła do do en Stanów Zjednoczonych, Losier uniknął aresztowania, grożącego tak jemu samemu, jak również wszystkim organizatorom owej, zabronionej w Stanach, podróży.

Średnica piłki wynosi 12 stóp. Grubość powłoki — 3 stopy. A więc rozmiar komory wewnętrznej,. gdzie się znajdował sam Losier, równa się 6 stopom. W grubej powłoce piłki urządzono 32 niewielkie zbiorniki zgęszczonego tlenu.

Losier przypuszczał, że podczas swego „rajdu" będzie mógł siedzieć. W tym celu urządził sobie wewnątrz piłki krzesełko, zawieszone na linach. Gdy jednak piłkę otworzono — okazało się, że liny pękły, a sam Losier leży skulony w kłębek. Ciekawe, że William Hill, który wyciągnął piłkę na brzeg, był specjalnie zaangażowany przez Losiera i przyjechał z San-Francisko. (Hill ma trzy medale za ratowanie tonących). Ten środek ostrożności, jak widzimy, okazał się wielce praktyczny.

Jak wiadomo, jest tylko jeden człowiek na świecie, który przepłynął Niagarę i pozostał mimo to przy życiu. Jest nim Anglik Carlyle Graham, który dwa razy przepłynął Niagarę w specjalnie skonstruowane beczce w 1886 i 1887 roku.

Przypominamy również czytelnikom, że przepłynąć rzekę powyżej wodospadu potrafił w swoim czasie kapitan Webbs. Powtórną próbę, w roku 1883, Webbs przypłacił życiem. Ogółem, rzekę powyżej Niagary przepłynęło kilku ludzi, postradało zaś życie przeszło 30 osób. Od tego czasu specjalna ustawa zabrania komukolwiek bądź pokusić się na „pokonanie" groźnego wodospadu.

Radjo u dzikich.

Rysunek na okładce naszego numeru przedstawia kilku wesołych murzynów, wykonywujących przy dźwiękach radja jakieś fantastyczne pląsy. Obrazek, który powstać mógł jedynie w imaginacji rysownika — powie czytelnik. Jak można wyobrazić sobie tatuowanego ludożercę w piórach na łbie i kolcyku w nosie — przysłuchującego się radjowemu koncertowi.

Otóż, czytelniku, jesteś w błędzie, skoro tak mniemasz W naszej epoce radjo dotarło już do najbardziej odległych zakątków świata. Pierwszy dziki szczep, który dostąpił zaszczytu otrzymania radjoaparatu zamieszkuje wyspę Borneo, na archipelagu malajskim. Państewko Sarawak podlega władzy szefa europejskiego, którego antenaci zawojowali ową osadę. Potomek ich sprawuje rządy w swem egzotycznem królestwie za zgodą i pod protektoratem rządu angielskiego. Sześć tysięcy jego poddanych zamieszkuje przestrzeń stu tysięcy kilometrów kwadratowych. Od niedawna archipelag malajski posiada własną stację nadawczą i odbiorczą, obsługiwaną przez tybulców.

Brzęczenie owadów.

Dlaczego brzęczą owady? Oto pytanie, które na pewno nieraz nasuwało się czytelnikowi, zwłaszcza w porze letniej, gdy cichym wieczorem na wsi powietrze rozbrzmiewa istną symfonją brzęczenia, wykonywaną przez różne bąki i owady rozmaitych gatunków i kalibrów.

Większa część owadów nie posiada specjalnych organów dźwiękowych, a brzęczenie ich, które się słyszy jedynie przy locie, powstaje z powodu tego, że, fruwając owady poruszają skrzydełkami kilkaset razy na sekundę. Skrzydełko owadu jest kołyszącą się płytką; wiemy zaś, że każda dość często (więcej niż 16 razy na sekundę) poruszająca się płytka wytwarza dźwięk — ton określonej wysokości.

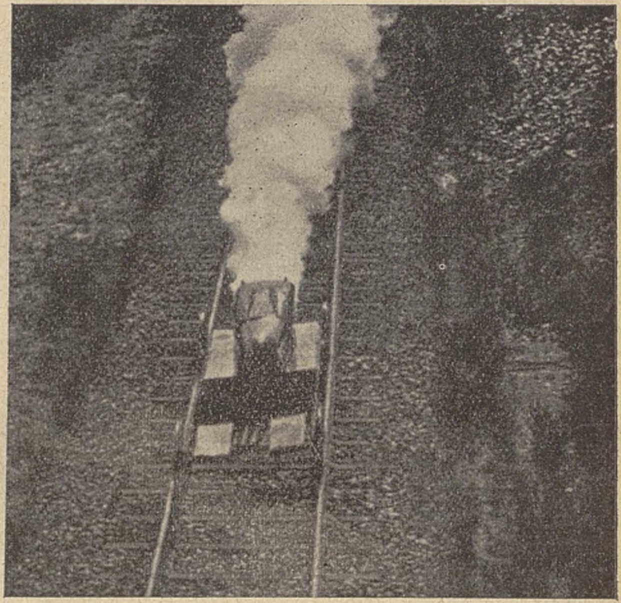
Postaramy się zaraz wyjaśnić, w jaki sposób udało się dowiedzieć, ile poruszeń skrzydełkiem na sekundę wykonywa przy fruwaniu ten lub ów owad. Wystarczy w tym celu określić słuchem wysokość wydawanych przez owady tonów. Każdemu tonowi odpowiada pewna ilość drgań płytki. W ten sposób dowiedziano się, że mucha (wydająca podczas latania ton F) robi na sekundę 352 machnięć skrzydełkami. Pszczoła, wydająca ton A, wymachuje skrzydełkami 440 razy na sekundę, fruwając swobodnie; obciążona zaś miodem wydaje ton B, a więc robi tylko 330 ruchów na sekundę. Bąki, wydające przy fruwaniu bardziej niskie tony, poruszają skrzydełkami mniej szybko. Komar natomiast porusza skrzydełkami 500 — 600 razy na sekundę,

Najszybszy samochód świata.

W ostatnich czasach prasa całego świata zajmuje się żywo zagadnieniem samolotów rakietowych. Pozostaje to w związku z projektami wysłania pierwszego okrętu międzyplanetarnego na Księżyc lub Mars. Czytelnicy nasi pamiętają zapewne artykuły, poświęcone temu zagadnieniu, umieszczone kilkakrotnie na łamach „Mojego Przyjaciela."

Zanim jednak pierwszy okręt międzyplanetarny wyruszy na pódbój przestworzy, należy wszechstronnie wypróbować działanie „silnika rakietowego" Oczywiście, jest to możliwe tylko w ciasnych granicach naszej ziemskiej atmosfery. Próby rozpoczęły się nie od rakiety napowietrznej, lecz od samochodu rakietowego.

Samochód został zbudowany przez fabrykę Oppel'a w Niemczech, która właśnie specjalizuje się na tego rodzaju wynalazkach. Skonstruowanie maszyny nie nastręczyło zbytnich trudności, lecz gorzej przedstawiała się sprawa z trasą dla samochodu.



Samochód rakietowy pędzi z szybkością 430 klm na godzinę.

Szybkość samochodu rakietowego przenosi 500 kilometrów na godzinę. Oczywiście, żadna szosa na ziemi nie nadaje się dla eksperymentów z tego rodzaju samochodem — pociskiem. Wówczas inżynier Oppel wpadł na szczęśliwy pomysł: samochód ustawiono na szynach kolejowych i puszczono w ruch, gdy linia była wolna.

Należało również ustalić, czy jakakolwiek bądź istota żyjąca jest w stanie przetrwać podróż, odbywającą się z tak szaloną szybkością. Amatorów dwunożnych naturalnie nie znaleziono; musiano się zadowolić czworonożną pupilką Oppel'a, kotką „Matty".

Przy pierwszej próbie samochodowi nadano szybkość 250 klm. na godzinę. Maszyna i pasażerka wyszły z tej pierwszej podróży bez szwanku. Przy powtórnej próbie samochód rozwinął szybkość 430 klm. na godzinę. Szybkość ta jednak doprowadziła do katastrofy. Na jakimś nieznacznym zakręcie maszyna się wywróciła i wyleciała na nasyp. Gwałtowny wstrząs spowodował eksplozję całego zapasu rakiet wybuchowych. Gdy nadbiegli ludzie, ujrzeli śród rozpalonych gruzów maszyny trupa dzielnej „Matty".

Tak niefortunnie skończyła się ziemska próba maszyny, przeznaczonej do zwycięstw międzyplanetarnych. Oczywiście, z podobnym finałem liczono się zgóry, i fabryka Oppel'a przystąpiła natychmiast do budowy nowego samochodu.

Rysunek nasz przedstawia fragment drugiej próby, która się skończyła katastrofą dla maszyny i jej pasażerki.

Intratny wynalazek.

Wiadomo, że t. zw. „epokowe" wynalazki rzadko przynoszą swym twórcom wielkie materjalne korzyści, natomiast drobne, praktyczne wynalazki często przynoszą majątek. W tych dniach zmarł w małem szkockiem miasteczku niejaki John Nairn, który w swoim czasie wynalazł najlepszy gatunek farby dla linoleum, powszechnie obecnie używany. Zdawałoby się, nie wielka rzecz... Otóż wspomniany John Nairn zostawił po sobie majątek, wynoszący w naszej walucie 100.000.000 złotych.



KINO U PROGU ŚWIĘTEJ KRAINY HEDŻASU.

Dudniąc, podnosząc za sobą tumany kurzu, wynurzyli się przed otoczonym gawiedzią domkiem beduini — wolni synowie bezkresnej pustyni.

Uwiązali zmęczone drogą rumaki i przeciskając się przez tłum, z trudem dostawali się do zapełniającego się budynku — pierwszego teatru świetlnego na wschód od Jordanu.

Emir nareszcie ustąpił. Mimo długotrwałego, uporczywego sprzeciwu duchowieństwa, pozwolił na otwarcie kina. A otworzenie kina w Amman nie było zgoła łatwą sprawą.

Zakaz obrazowego przedstawiania człowieka, głoszony przez Koran, dotyczy również ekranu, a Amman, próg Hedżasu, świętego kraju, musi ten zakaz obserwować ściślej, aniżeli każdy inny kraj.

Postęp nowej ery nie dał się jednak powstrzymać. Kino dotarło i tutaj. Od dziś półdzicy beduini podziwiać będą przesłodką grę Mary Pickford lub Liljany Gish, a serca zawoalowanych dziewcząt arabskich zabiją zgodnym rytmem ku Douglasowi Fairbanks.

A zresztą, kto wie? Może to wszystko co nas fascynuje pozostanie tu bez echa, nie wywrze wrażenia. Oto za chwil parę odbędzie się inauguracja; przed potomkami wielkich praojców sztuki rozewrze film zaczarowany swój świat. Świat blasków cieni.

* *

Wielka sala kina w Amman, która dotychczas, najprawdopodobniej, wysługiwała się właścicielowi w charakterze stajni, — otwiera swe podwoje.

U wejścia stoi właściciel, dyrektor, kasjer, kontroler i bileter w jednej osobie. Jedną ręką pobiera należność, drugą rozdziela kolorowe karteczki, wyposażające w prawo siedzenia gdzie się komu podoba. To prawo realizują arabscy amatorowie kina w ten sposób, że biorą krzesła i wędrują z niemi po całej sali przysiadając się to tu, to tam, do znajomych i nieznajomych.

Niektórzy zapewnili sobie „najlepsze miejsca" w ten sposób, że nosami, nieledwo, dotykają rozpiętego płótna.

Licznie zebrana publiczność rekrutuje się w większej części z fellachów, (chłopów), askari (żołnierzy), drobnych handlarzy oraz olbrzymiego tłumu wyrostków o palących się z ciekawości oczach. Gawędząc śmieją się, śmiejąc się pokrzykują. Tylko przybyli przed chwilą beduini zachowują dostojne milczenie.

Przyodziani w szerokie płaszcze, we wspaniałych malowniczych turbanach, spoglądają pogardliwie na nieopanowanych mieszczuchów; niejako wojownicy ze starego testamentu wśród... arabskich amatorów kina w Amman.

Amman, miasto Ammonitów, przy oblężeniu którego król Dawid nakazał zabić Urjasza, najdzielniejszego dowódcę swoich wojsk, aby przywłaszczyć sobie jego żonę...



Kinooperatorzy nakręcają „film wschodni" na dworze maharadży indyjskiego.

Przed tysiącami lat wyglądało Amman nie wiele inaczej niż wygląda dzisiaj. Nie zmieniły się o jotę stroje beduinów. Zmieniła się tylko ta okoliczność, że wówczas żołnierze króla Dawida w krwawym ataku nacierali na Rabbat-Ammon, a jutro zagraniczne konsorcjum podejmie się wypłacić tutejszym władzom określony rabat od zysków ze sfilmowania w dolinie Nar el Zerka, dziejów nieszczęsnego Urjasza i miłości króla Dawida.

* * *

Na sali pogaszono światła. Niedość wprawny jeszcze mechanik rzucił na ekran snop promieni, regulując ostrość aparatu.

Półmrok. Widzowie z uwagą śledzą migające po ekranie plamy światła. Nawet satirdżi (przekupień) zaprzestał zachwalać lemonjadę i słodki chleb. Widzowie poczynają się rozczarowywać. Z szeroko otwartemi źrenicami usiłują coś wypatrzeć.

Wreszcie mechanik puścił w ruch aparat. Równocześnie zagrała usadowiona z boku muzyka arabska.

Monotonnie zawodzą flety, bez przerwy turkocą bębny, ciszej to znów donośniej przekrzykują się wzajem trąby i rogi w wolnej konkurencji.

W pierwszej chwili chwyta słuchającego Europejczyka niepohamowana ochota ucieczki. Wnet jednak dziwny, nieokreślony urok tej muzyki, nie mającej w sobie żadnych uchwytnych melodyj, wywiera silne wrażenie i na europejskim słuchaczu.

Cała wymowność muzyki arabskiej, cały jej koloryt przejawia się w rytmie, a właściwie w paru równolegle biegnących, różnych od siebie rytmach.

Góruje rytm monotonny brzmiący jak kroczenie karawany. Słyszymy w nim stąpanie objuczonych wielbłądów i senne okrzyki poganiaczy. Coraz to uderza bęben, grzechocząc jak źle przytroczona do drewnianych siodeł wielbłądzich broń. Inne rytmy, szybsze i mniej monotonne, zawierają w sobie już cośniecoś z melodji. Wsłuchując się w nie słyszymy: taniec, okrzyki otaczających tancerzy i pobrzęk blaszek, któremi tanecznice arabskie wydzwaniają sobie rytm. Wszystko to bębni, trąbi i poświstuje, kończąc się nagle bez żadnego przejścia, nieoczekiwanie jaskrawym wykrzykiem dysonansu.

* * *

Wschodni film z przedpotopowych czasów. Niezwykle sensacyjna fabuła. Dwaj rywale. Jeden zły i przewrotny — istny Lucyper. Drugi, jak żaden z aniołów. Obaj starają się o rękę jednej dziewczyny, przyczem pierwszemu chodzi o wielki skarb, który zakopany został na wyspie przez ojca dziewczyny. Amator skarbu dostaje kosza. Wykrada dokument opisujący dokładnie miejsce w którem skarb został ukryty. Werbuje bandę rozbójników i rusza ku wyspie. Pościg. Porwanie dziewczyny. Regularna walka z niedozwolonemi chwytami...

Przybycie marynarzy amerykańskich ratuje bohaterów, przyczem łajdak traci życie.

* * *

Arabowie w czasie oglądania filmu zachowywali się jak wielkie dzieci. Niepohamowany zachwyt ogarniał zebranych na widok próby całusa, policzkowania i tęgiej bijatyki. Ta ostatnia wzdudzała nieopisany rwetes. Arabowie kręcili się w krzesłach, pokrzykiwali, przyklaskując to jednej to drugiej stronie.

Zwłaszcza fellachowie poczuwali się do głośnego komentowania, ostrzegania bohaterów i pobudzania ich.

— Nie idź tam...

— Strzelaj! Bij go! Dobrze! Jeszcze raz!

— Uciekaj, uciekaj...

— Te, bandyta...

— In sza Allach... — szeptał głośno jakiś szeik ilekroć bohaterom groziło niebezpieczeństwo.

— Allach! O Illach — Allach!... — podchwytywali Beduini.

Najbardziej jednak mógł zainteresować Europejczyka prymitywny sposób odnoszenia się Arabów do samego toku akcji. Wszystko co opóźniało szybkie tempo filmu było przez widzów odrzucone.

Póki grające osoby miłowały się, kradły i prześladowały, a nie było widocznego niebezpieczeństwa, nudziła się publiczność wcale niedwuznacznie.

Satirdżi (przekupnie) roznosili lemonjadę i z powodzeniem zachwalali słodki chleb. Arabom było zupełnie obojętne czy dostanie dziewczynę bohater cnoty, czy też uosobienie złego ducha. To nie wchodziło w zakres ich zainteresowań. Cieszono się przy poszczególnych bijatykach, nudzono przy zdjęciach z natury i naogół panował chłód. Dopiero, gdy wybuchł otwarty konflikt, dziewczę zostało porwane i równocześnie wylądowali na brzegu wyspy niosący pomoc marynarze, obudziło się zainteresowanie i urosło do rozmiarów pasji. Gdy konflikt stał się jasny, pojął go Arab i z zachwytem towarzyszył biegowi marynarzy.

— Na Boga! Jallach! naprzód, prędzej! — wołali podnieceni widzowie do żołnierzy z ekranu, którzy szturmowali wzgórze.

Jakiś Beduin wyrzucił za drzwi natrętnego satirdżi rozsypując mu chlebki z koszyka.

— Czy też askari zdążą na czas?... —pyta sąsiadów stary szeik, bijąc jak szalony w dłonie, by zagrzać żołnierzy.

* * *

Film się skończył. Sprzedawcy lemonady wędrują po sali pobrzękując szkłem. Beduin kupuje chlebki u biednego satirdżi, którego uprzednio wyrzucił. Po zadowolonej minie przekupnia widać, że hojnie płaci.

Jeden z obecnych na sali Europejczyków pyta Arabów o wrażenie jakie wynieśli z oglądanego filmu.

— Allach akbar (Bóg jest wielki)... — odpowiada wymijająco jeden, będący jeszcze pod wrażeniem szczęśliwie zakończonych perypetyj.

Zapytany starzec odpowiada:

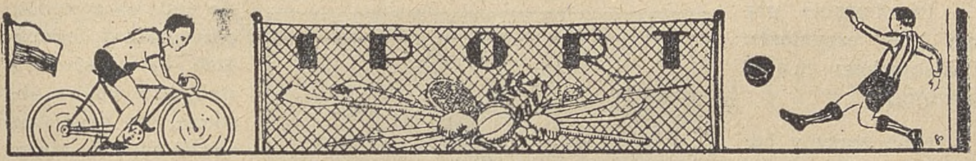
— W moim szczepie nie mogło by się nic podobnego zdarzyć... Ja, szeik, nie ścierpiałbym tego...

W braku innej była i to pewnego rodzaju recenzja.

Maksymiljan Emmer.



Rin-Tin-Tin czworonożna gwiazda ekranu.



WYSIŁEK W SPORCIE.

COŚNIECOŚ O ZALETACH I WADACH SPORTOWCÓW.

Kto chce być dobrym sportowcem, powinien umieć w chwilach krytycznych nadzwyczajnie skupić nerwy i wydobyć ze siebie maksymalną ilość wysiłku. Ile kosztuje czasami tak wysiłek ilustrują najlepiej fakty.

Podczas VIII. Olimjady w Paryżu w czasie biegu maratońskiego upał przewyższał 30°. Droga wiodła bardzo uciążliwą szosą a nadomiar złego rozżarzony pył wapna ciągle dokuczał biegnącym i zasypywał im twarze.

Oczywiście, w takich okolicznościach nie wszyscy bieg mogli ukończyć, a faworyt biegu Finn Kohlemainen, triumfator kilku poprzednich Olimpjad, człowiek liczący ponad 30-tkę, zemdlony padł do przydrożnego rowu, skąd go dopiero nadjeżdżające auto zabrało.

Zwycięzca tego biegu, rodak Kohlemainena — Steenros po zerwaniu taśmy stracił przytomność, którą uzyskał dopiero po kilkunastu minutach.

Na tejże Olimpjadzie, Szwed Wide, wielokrotny rekordzista świata, w którymś z biegów średniodystansowych, zająwszy drugie miejsce za fenomenem lekkiej atletyki Nurmim, zdobył się na taki wysiłek, który musiał później odpokutować, leżąc przez tydzień w jednym z paryskich szpitali.

Na Olimpjadzie krótkodystansowiec, który ma ambicję przebyć drogę od przedbiegów do finałów na dystansach 100:200 m., musi przebyć kilka kilometrów sprintu. Sumowane w ten sposób czasy dałyby mniej więcej na dystansie 2 km. czas 3 min. 40 sek., podczas gdy rekord światowy tego dystansu przekracza 5 min. 20 sek.

Jeden z ostatnich numerów „Przeglądu Sportowego" donosi że Szwecji o niezwykle zażartym finale tegorocznych rozgrywek piłki nożnej. Dotychczas prowadziły w mistrzostwie jednakową ilością punktów kluby Oergryte i Hälsingborg. Obie drużyny miały rozegrać tego samego dnia swoje ostatnie mecze, przyczem mecz Oergryte zaczynał się o godz. 1^{45}, podczas gdy Hälsingborg zaczął swój mecz o 1-ej.

Gdy zaczął swój mecz Oergryte, wiadomy już był wynik I-ej połowy meczu Hälsingsborgu; mianowicie ten ostatni prowadził do przerwy 2:0. Kierownicy Oergryte obliczyli, iż dla wygrania meczu musi Oergryte strzelić co najmniej 6 bramek (w Szwecji przy jednakowej ilości punktów decyduje w mistrzostwie lepszy stosunek bramek).

Tymczasem do przerwy Oergryte prowadzi tylko 1:0.

Telefon donosi, że Hälsingborg wygrał swój mecz w stosunku 2:1. Puszczone w ruch ołówki kierowników Oergryte obliczyły, iż drużyna ich musi wygrać, by zdobyć mistrzostwo, conajmniej w stosuku 4:0.

Na parę minut przed końcem wynik brzmi tylko 3:0.

Wszedł tu w grę jednak tak częsty i ważny w piłce nożnej czynnik: przypadek czy szczęście.

Oto gdy najlepsi gracze napróżno wyskakują ze skóry w pogoni za bramką, udaje się rezerwowemu napastnikowi drużyny, zresztą najsłabszemu graczowi zespołu, przebój i... bramka.

Wynik 4:0... Oergryte i Hälsingborg mają jednakową ilość punktów, ale Oergryte ma stosunek bramek lepszy o 9/1000.

Pamiętny również jest udział przypadku w rozgrywkach piłki nożnej na zeszłej Olimpjadzie w meczu Hiszpanja—Włochy. Po 90-ciu minutach wynik 1:1.

Przedłużenie gry nic nie przyniosło. Postanowiono mecz powtórzyc.

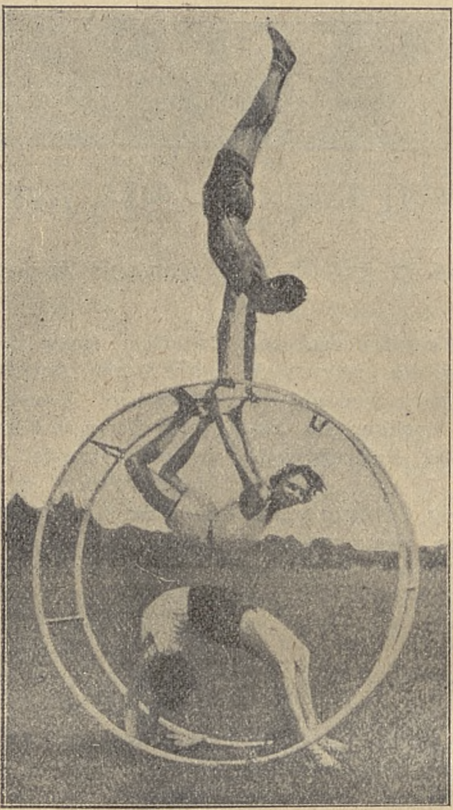
Obie drużyny heroicznie walczą. I następuje krytyczny moment pod bramką Hiszpanów. Ich obrońcy, zresztą bodaj najlepszemu graczowi tego meczu, nie udaje się wykop, piłka „fałszuje" i wpada do własnej bramki.

Wynik 1:0 dla Włochów.

Rozpacz backa hiszpańskiego nie miała granic. Rzucił się biedak na ziemię i wybuchnął głośnym płaczem. Do niczego nie doprowadziły gwałtowne ataki Hiszpanów i rezultat pozostał bez zmiany, a znim prysnęły piękne marzenia o zdobyciu mistrzostwa Olimpjady.

Umiejętność całkowitego opanowania się podczas zawodów, pozwalająca oszczędzać siły w pierwszem stadjum zawodów, aby potem, w krytycznej chwili zdobyć się na ostateczny, rozstrzygający wysiłek, odgrywa ogromną rolę nietylko w sportach fizycznych. Każdy dobry szachista naprzykład wie, że wynik partji zależy przedewszystkiem od umiejętności gracza skupienia w krytycznym momencie swych władz umysłowych, i przetrwania w najwyższem napięciu tego momentu, kiedy się ważą losy całej gry. Bez tej umiejętności na nic się nie zda świetna gra początkowa, kombinacjny talent, zdolność przewidywania posunięć przeciwnika.

Jak więc widzimy w sporcie, fizycznym czy umysłowym, — talent, to jeszcze nie wszystko.



Nowy rodzaj sportu, modny obecnie we Francji Koło się toczy...

SPORTOWCY POLSCY NA OLIMPJADZIE.

Jak donosi „Przegląd Sportowy", nasi lekkoatleci przybyli do Amsterdamu dnia 21 lipca. Podróż nie wycisnęła na nich piętna zmęczenia, raczej nieco ogłuszyła. Trzy godziny postoju w Berlinie w ciągu całej długie podróży, pozwoliły tylko na zaczerpnięcie „niemieckie o" powietrza, ale nie na odpoczynek, czy zwiedzenie miasta.

Humory doskonałe. Amsterdam wywarł na naszych zawodnikach miłe wrażenie. Nietyle może zres tą Amsterdam, ile raczej prawdziwie nadzwyczaj gorące i serdeczne przyjęcie, zorganizowane przez specjalny Komitet przyjęcia, na czele które o, po a szeregiem wysoko postawionych osobistości, stoi poseł polski w Hadze, dr. Kętrzyński i burmistrz m. Amsterdamu.

Właściwym „spir tus movens" Komitetu, jego duszą i sprężyną jest nasz konsul honorowy w Amsterdamie, p. Buckman, który powitał naszą ekspedycję na granicy holenderskiej. Ofiarował on nietylko swą pracę i stosunki na usługi Komitetu, ale złożył również bardzo poważną sumę 2.500 florenów holenderskich (około 8.000 zł.) na cele związane z przyjęciem.

Lokal szkoły „Marco Polo" na Aalborstäat 3 urządzony jest przez panie, należące do Komitetu, w sposób miły, wygodny i gustowny. Przy Heerengracht 554 został również urządzony klub polski, gdzie zawodnicy znajdują wytchnienie po godzinach treningu i męczących zawodów. Lokale te są urządzone do tego stopnia starannie, że znajdują się tam obrazy mistrzów polskich i portret Marszałka Piłsudskiego.

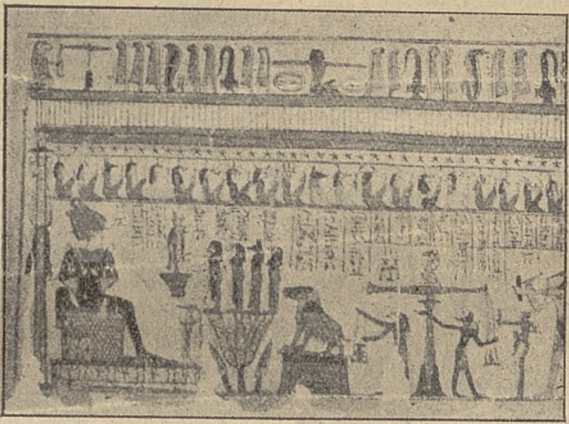
POTRÓJNY CUD W MUZEUM BRYTYJSKIEM.

ODCYFROWANIE TAJEMNICY RĘKOPISU Z HIEROGLIFAMI.

Znane jest powiedzenie Szekspira: „są rzeczy o których się filozofom nie śniło" Niejeden uczony, a zwłaszcza niejeden wątpiący sceptyk powinienby teraz przypomnieć sobie ten aforyzm. Chodzi o pewną bardziej niż dziwną historję, która miała miejsce niedawno w pewnym bardzo szacownym przybytku wiedzy. Widownia zdarzenia było Muzeum Brytyjskie, posiadające, jak wiadomo, największy i najpoważniejszy zbiór zabytków. starożytnych.

W oddziale egipskim Muzeum Brytyjskiego leżał zdawna wśród setki papirusów i dokumentów staroegipskich,— zwitek pergaminowy, zapisany hieroglifami Zwitek ten zwracał nieraz na się uwagę lingwistów i historyków, przyczem niejeden się kusił o wyświetlenie tajemnicy, zawartej w papirusie. W warunkach normalnych nie przedstawiałoby to trudności: wszak od czasu Champolliona należą hieroglify do liczby znanych nam znaków pisarskich. Usiłowania odczytania tekstu z wiodły jednak z tego powodu, że materjał tego zwitka w ciągu tysiącleci popsuł się i stał tak kruchy, że odwinięcie zwitka byłoby jednoznaczne ze zniszczeniem całego rękopisu. Że jednak nie brakło innych nieodcyfrowanych rękopisów egipskich, więc nic w tem dziwnego, że ów zwitek pozostał sobie nadal zwitkiem i spoczywał spokojnie wśród tysięcy nieprzeczytanych papirusów. Pomimo to ten rękopis staroegipski zdawał się wywierać niezwykły urok pociągający na badaczy; pragnienie oczytania tekstu stawało się coraz bardziej silne.

Wtem przyszedł z pomocą pewien chemik. Nie znał się on bynajmniej na hieroglifach, natomiast orjentował się doskonale w właściwościach owego tajemniczego kawałka skóry, spreparowanego przed tysiącami lat. Obmyślił sposób, zabezpieczający kruchą skórę przed zniszczeniem. Sporządził w tym celu roztwór celuloidowy, w którym zanurzył zwitek. Pory skóry wessały chciwie ten roztwór, dzięki czemu na powierzchni skóry pojawiła się cienka warstwa celuloidu. Wskutek tego kruchy materjał wzmocnił się i można już było teraz zwitek ostrożnie rozwinąć i włożyć pomiędzy dwie płyty szklane celem „odprasowania". Skoro tylko roztwór celuloidowy wysechł, można było się zabrać do pracy.



Palimpsest staroegipski.

Wkrótce badacze stwierdzili, że ów rękopis jest to właściwie tak zwany palimpsest, czyli kawał skóry dwa razy zapisany. Prastare pismo było prawdopodobnie po wielu tysiącach lat częściowo zeskrobane, następnie innem pismem zapisane. Te późniejsze napisy okazały się bez znaczenia w sensie naukowym. Zainteresowano się głównie zeskrobanemi hieroglifami. Również w tym wypadku mogła sobie wiedza poradzić; prześwietlono ów cienki kawał skóry promieniami Rentgena, przyczem na fotografji otrzymano pierwotne hieroglify.

Ustalono, że rękopis jest dziełem pewnego arcykapłana z drugiej dynastji. Przepowiada on pożar światowy, któremu złożone zostaną w ofierze miljony ludzi. Pogrzebie się większą ilość trupów, niż wynosi cała ludność w państwie faraonów. Na samym końcu podana została data tej katastrofy podług kalendarza staroegipskiego. Egiptolog, który odcyfrował rękopis w Muzeum Brytyjskiem, wziął ołówek do ręki i przełożył datę, podaną przez kalendarz staroegipski, na datę naszego kalendarza. Otrzymano rok **1914**.

J. R.

ALEKSANDER KUPRIN.

Sapsan.

Utwór powyższy możemy umieścić obok najlepszych opowiadań Londona, Dygasińskiego i innych autorów świetnie odtwarzających psychikę stworzeń nie posiadających mowy ludzkiej ale, nie pozbawionych być może strony duchowej. Autor „Goryla z Ubangi", jak sobie czytelnicy nasi przypominają, nie zawahał się nawet przed przyznaniem owej czwororękiej istocie duszy.

Ja, Sapsan Trzydziesty Szósty, ogromny i silny pies rzadkiej rasy, maści piaskowo-czerwonej, liczę czwarty rok życia i ważę sześć i pół puda. Wiosny ubiegłej umieszczono mnie w dużej szopie w towarzystwie innych psów. Było nas razem nieco więcej, niż siedem (dalej nie umiem liczyć). Powieszono mi na szyi ciężki żółty placek i ze wszystkich stron posypały się na mnie pochwały.

Placek jednak nie miał żadnego zapachu.

Przodkowie moi pochodzą z Nowej Funlandji, odkryli więc Amerykę przed Kolumbem. W zamierzchłej starożytności urządzano co tydzień ludowe zabawy; szczuto do walki niedźwiedzie i silne psy. Mój praszczur, Sapsan II, walczył pewnego razu w ten sposób w obecności groźnego króla, Jana III, przyczem schwycił za gardło niedźwiedzia-pożeracza ludzi i zwalił go na ziemię. Wówczas główny psiarczyk królewski pozyskał wielką sławę, gdyż zakłuł przewróconego niedźwiedzia. W dowód czci i pamięci najlepsi z moich przodków zwali się Sapsanami. Taką genealogją mogą się pochwalić nieliczne tylko rody stare. Zresztą mam tyle wspólnego z potomkami owych dawnych rodów, że krew nasza jest, podług zdania ludzi uczonych, koloru błękitnego. Sama zaś nazwa Sapsan jest pochodzenia tatarskiego, i znaczy jastrząb.

* * *

Najwyższą istotą w całym świecie jest mój Pan. Nie jestem bynajmniej jego niewolnikiem, ani nawet sługą, ani stróżem, jak myślą inni, lecz przyjacielem i opiekunem. Ludzie — te zwierzęta, chodzące na tylnych łapach, nie mające własnego owłosienia i dlatego noszące obce skóry,— są komiczni w swej niezręczności i bezbronności. Z drugiej strony posiadają oni jakąś potęgę, niezrozumiałą dla nas, ale cudowną i nieco straszną. Szczególniej zaś mój Pan. Kocham w nim tę straszną władzę, on zaś ceni we mnie siłę, zręczność, odwagę i rozum. W ten sposób obcujemy ze sobą.

* * *

Pan jest ambitny. Kiedy chodzimy razem po ulicy — ja u jego prawej nogi, — słyszeć się dają poza nami zawsze pochlebne uwagi: „To ci psisko.., istny lew... co za śliczny pysk" i t. d. Nie zdradzam się ani jednym ruchem przed Panem, że słyszę te pochwały, ani że wiem, kogo dotyczą. Czuję jednakże, jak mi się udziela po jakiejś nici niewidzialnej jego radość naiwna i dumna. Dziwak! Niech się bawi. Staje mi się jeszcze milszy ze swemi drobnemi słabostkami.

Jestem silny. Silniejszy od wszystkich psów na świecie. One to odczuwają już zdala dzięki zapachowi mego ciała, memu spojrzeniu, całej mojej postaci. Ja zaś już na odległość widzę ich dusze, jakby leżące na plecach, z łapami podniesionemi do góry. Surowe przepisy pojedynku psiego zakazują mi tknąć przeciwnika, który się poddaje. Nie znajduję godnego siebie przeciwnika do przyzwoitej walki... A czasem coś tak ciągnie!.. Zresztą dog-tygrys z sąsiedniej ulicy zupełnie zaprzestał wychodzić z domu od czasu, jakiem go nauczył dobrego obejścia. Przechodząc obok parkanu, za którym on mieszka, nie wyczuwam już teraz jego zapachu i nie słyszę zdala jego warczenia.

Inaczej bywa z ludźmi. Oni zawsze uciskają słabego. Nawet Pan, najlepszy

z ludzi, niekiedy tak chłoszcze, bynajmniej nie głośnem, ale okrutnemi słowami inne maleńkie i tchórzliwe istoty, że doznaję uczucia wstydu i żalu. Ocieram się pocichutku nosem o jego rękę, ale on nie rozumie i odpycha mnie.

* * *

My, psy, co się tyczy odgadywania myśli, przewyższamy ludzi co najmniej siedmiokrotnie.

Jesteśmy wogóle subtelniejsi od nich. Dla wzajemnego porozumiewania się potrzebne są ludziom zewnętrzne oznaki, — słowa, modulacje głosu, spojrzenia i dotknięcia. Ja zaś poznaję ich dusze jedynie węchem wewnętrznym. Odczuwam tajemniczemi nieznanemi drogami, jak dusze ich tchórzą, zazdroszczą, kochają, nienawidzą. Kiedy Pana niema w domu, poznaję zdaleka: szczęście czy nieszczęście go nawiedziło. Raduję się wówczas lub smucę.

* * *

Mówią o nas: taki a taki pies jest dobry, tamten znów zły. Nieprawda! Zły lub dobry, odważny lub tchórzliwy, szczodry lub skąpy, szczery lub skryty bywa tylko człowiek. A na jego modłę są i psy, mieszkające z nim pod jednym dachem.

* * *

Pozwalam się głaskać ludziom. Wolę jednak, kiedy mi wpierw wyciągają dłoń otwartą. Nie cierpię łapy z pazurami do góry. Wieloletnie psie doświadczenie uczy mnie, że może się w niej ukrywać kamień. (Młodsza córeczka Pana, moja faworytka, nie może wymówić słowa „kamień“, a mówi „kabin“). Kamień to jest rzecz, która leci daleko, trafia w cel i uderza boleśnie. Obserwowałem to na innych psach. Ma się rozumieć, we mnie nikt się nie ośmieli rzucić kamieniem.

* * *

Co za nonsensy wygadują ludzie, że psy jakoby nie wytrzymują spojrzenia ludzkiego. Ja mogę patrzeć memu Panu w oczy chociażby cały wieczór bezustanku. Ale my psy, odwracamy oczy z obrzydzenia. Większość ludzi, nawet młodzież, ma spojrzenie przemęczone, tępe i złe, zupełnie jak wypieszczone pinczerki na starość, kiedy są chore i nerwowe. Dzieci natomiast mają oczy czyste, jasne i szczere. Kiedy dzieci mnie pieszczą, wstrzymuję się z trudnością, aby nie liznąć którego z nich wprost w różowy pyszczek. Ale Pan nie pozwala, a czasem grozi biczem. Dlaczego? Nie rozumiem. Nawet on ma swoje dziwactwa.

* * *

Ach, ta kość! Ktoż nie wie, że to jest najbardziej pociągająca rzecz na świecie! Żył i, wnętrzne pulchne, smaczne, przesycone mózgiem... Nad niektórym „zajmującym“... kawałkiem chętnie się pracuje niekiedy od śniadania do obiadu. A ja tak rozumuję: kość to zawsze kość, chociażby najbardziej zużyta, a więc można się nią zawsze zabawić. Dlatego też zakopuje ją niekiedy w ogrodzie lub sadzie. Myślę sobie przytem: otóż było na niej mięso i niema go; czemuby znów nie miało się zjawić?

A jeśli ktokolwiek, — pies, kot czy człowiek, — przechodzi wpobliżu miejsca, gdzie jest zakopana, gniewam się i warczę. Może się domyślą? Najczęściej jednak sam zapominam o miejscu i wówczas na dłuższy czas tracę humor.

* * *

U nas w domu mieszka kot o pięknej sierści. Kizia jest to istota niezwykle poważna i bezczelna. Wykazuje taką pychę, jakgdyby cały dom i wszystko, co się w domu znajduje, zarówno ludzie, jak i rzeczy, stanowiło jej własność. Na obce psy rzuca się zawsze pierwsza i drapie im pyski. Ze mną żyje ona zgodnie. Wieczorem, kiedy mi przynoszą moją miskę z kleikiem i kośćmi, chętnie przystaję na to, by lizała sobie dowolnie. Ale mamy umowę: kości nie ruszać! I ona to dobrze pamięta od czasu, jakiem na nią kiedyś głośno ryknął. Ale ja również dotrzymuję warunków: mleka dla niej przeznaczonego nie ruszać! Bawić się z nią jednak nie lubię. W grze na pewno się zagalopuje i podrapie mi nos. A ja tego nie znoszę. Długo potem kicham i trę nos łapami.

* * *

Niedawno temu Maleńka przywołała mnie do siebie i otworzyła szafę. Tam na dolnej półce leżała w dużym koszu Kizia. Ssała ją cała gromada śmiesznych ślepych kociąt.

— Prawda, Sapsanie, jakie one są zachwycające? — rzekła do mnie Maleńka. Bardzo mi się spodobały. Dwoje lub troje

obwąchałem, liznąłem i nosem przewróciłem z brzuszka na grzbiet. Piszczały niby myszki, a były ciepłe i miękkie, bezradne i gniewne. Zaniepokojona kocica podniosła głowę i rzekła żałosnym głosem:

— Ach, Sapsanie, bądź ostrożniejszy, nie nastąp na nie łapą, jesteś taki duży...

Jaka ona naiwna! Jakgdybym sam nie wiedział.

* * *

Dziś Pan poszedł ze mną w gości do pewnego domu, gdzieśmy jeszcze nie byli. Tam ujrzałem ciekawe stworzenie: nie szczeniaka, a prawdziwą dorosłą psinę, lecz taką małą, że zmieściłaby się swobodnie w mojej zamkniętej paszczy. Pozostałoby tam nawet tyle miejsca, że mogłaby się obrócić wokoło. Cała ona ze swemi cienkiemi chwiejenemi nóżkami i wilgotnemi ślepiami podobna była do trzęsącego się pajączka. Prawdę powiedziawszy, nie spotykałem nigdy bardziej dzikiego stworzenia. Rzuciła się na mnie z wściekłością i krzyknęła złym głosem:

— Wynoś się z mego domu! Wynoś się w tej chwili! Bo cię rozerwię na kawałki! Oderwę ogon i głowę! Jazda! Czuć cię ulicą!

Dodała przytem kilka takich słów, że... Struchlałem, chciałem wleźć pod kanapę, ale tam weszła tylko głowa, a kanapa zaczęła się toczyć po podłodze. Ukryłem się w kącie. Pan śmiał się. Spojrzałem nań z wyrzutem. Wie wszak dobrze, że nie ustąpię ani koniowi, ani bykowi, ani niedźwiedziowi. Poprostu wywarło na mnie zdumiewające i okropne wrażenie, że ten miniaturowy psiak wyładowuje z siebie taki ogromny zapas złości.

* * *

Najbliższa memu sercu po Panu jest Maleńka, tak nazywam jego córeczkę. Nikomu innemu prócz niej nie przebaczyłbym, gdyby zaczął mnie ciągnąć za ogon lub uszy, siadać na mnie wierzchem albo zaprzęgać mnie do wózka. A od niej wszystko znoszę cierpliwie i udaję młode szczenię, piszcząc naiwnie. Sprawia mi niewysłowioną radość leżeć nieruchomo obok Maleńkiej, kiedy, zmęczona całodzienną bieganiną, drzemie, oparłszy główkę na mym boku. Ona znów nie obraża się, kiedy przewrócę ją podczas wspólnej zabawy ogonem na podłogę.

Niekiedy przy zabawie udaję, że zaczynam wściekać się, co ją doprowadza do wybuchu śmiechu. Lubię to bardzo, ale sam nie umiem się śmiać. Skaczę wówczas wysoko do góry i szczekam głośno, ile mi sił starczy. Wyprowadzają mnie wtedy za obrożę na ulicę. Dlaczego?

* * *

Zeszłego lata zdarzył się taki wypadek na letnisku. Maleńka zaczynała dopiero chodzić i była bardzo zabawna. Spacerowaliśmy we troje,—ona, ja i niańka. Wtem powstał popłoch wśród ludzi i zwierząt. Środkiem ulicy pędził pies, czarny z białemi plamami. Głowę miał opuszczoną, ogon obwisły. Pysk miał cały w pianie. Niańka uciekła, krzycząc przeraźliwie. Maleńka siadła na ziemi i zaczęła płakać. Pies pędził wprost ku nam. Już zdala poczułem ostry zapach szaleństwa i wściekłej złości. Ze strachu okropnego sierść cała stanęła mi dęba, alem się przemógł, osłoniwszy ciałem Maleńką.

Nie był to pojedynek, lecz walka na życie i śmierć. Skurczyłem się, wybrałem moment odpowiedni i jednem uderzeniem łba obaliłem pstrokatego. Schwyciłem go za kark, ścisnąłem mocno zęby i podrzuciłem go wysoko w powietrze. Pies spadł na ziemię i leżał bez ruchu, dziwnie płaski, jak pęcherz, z którego wypuszczono powietrze. Nie wzbudzał już więcej strachu. Maleńka była jednak przestraszona. Zaprowadziłem ją do domu. Trzymała mnie przez całą drogę za ucho, tuląc się do mnie. Czułem, jak drżało jej drobne ciało.

— Nie bój się, moja Maleńka! Kiedy jestem z tobą, żaden człowiek, żadne zwierzę nie ośmieli się ciebie obrazić!

* * *

Nie lubię nocy księżycowych. Odczuwam nieprzepartą chęć wycia, kiedy się patrzę na niebo. Wydaje mi się, że spogląda stamtąd ktoś wielki, większy od samego Pana. Ten, kogo Pan tak niezrozumiale nazywa Wiecznością, lub czemś w tym rodzaju. Wówczas mam mgliste przeczucie, że i moje życie kiedyś się skończy, tak jak się kończy życie psów, bąków i roślin. Czy wówczas przed mym końcem przyjdzie do mnie mój Pan? Nie wiem. Pragnąłbym go jednak zobaczyć. Lecz jeśli nawet nie przyjdzie, moja myśl ostatnia będzie o Nim.

ZAPOMNIAŁ!...

HUMORESKA.

Roch Korytko, niegdyś zręczny porucznik, tancerz i zdobywca serc niewieścich, a obecnie, grubiutki i tłuściutki obywatel ziemski, znużony i zmęczony sprawunkami dla swej żony, wstąpił do wielkiego składu instrumentów muzycznych, by kupić nuty.

— Dzień dobry!... — powiedział, wchodząc do sklepu. — Będzie pan łaskaw dać mi... i... i...

Niziutki Niemiec, stojący za ladą, wyciągnął szyję w oczekiwaniu a twarz jego wyrażała uśmiechający się znak zapytania.

— Co pan rozkaże?

— Będzie pan łaskaw... uff! gorąco! Upał taki, że niech licho porwie! Będzię pan łaskaw dać... mmm — mi... mmm... dać mmi... ppsiakość! Zapomniałem!

— Niech pan sobie przypomni!

Korytko założył górną wargę na dolną, zmarszczył w trzy fałdy swoje wąskie czoło, podniósł w górę oczy i zamyślił się:

— Zapomniałem! Jaka, by nie zgrzeszyć, djabelska pamięć!... Zaraz... zaraz, mam na języku... mmm... Zapomniałem!

— Niech pan sobie przypomni...

— Mówiłem jej z tysiąc razy: zapisz i zapisz, a ona nic... Dlaczego nie zapisała? Przecież ja wszystkiego pamiętać nie mogę... A może pan wie? Sztuka zagraniczna, taka hałaśliwa... ...Co?...

— Tak wiele mamy tego na składzie, że... pan rozumie!

— No tak, oczywiście! mm... mm... niech sobie przypomnę... Co teraz będzie? a bez nut nawet i wrócić nie można. Zamęczy Magdzia, córka chciałem powiedzieć; gra ci ją bez nut, wie pan, ale jakoś niespecjalnie. Miała wprawdzie nuty, ale przyznać się muszę, przez nieuwagę oblałem je naftą i aby krzyku nie było — rzuciłem gdzieś za komodę... Nie znoszę babiego pisku! Kazała kupić... ale zapisać — nie zapisała... no tak, fff... Jaki dumny kot!

Korytko pogłaskał wielkiego szarego kota, wylegującego się na ladzie... Kot zamruczał i przeciągnął się leniwie.

— Pyszny... syberyjski, poznać odrazu, bestja! rasowy szelma... To kot czy kotka?

— Kot.

— No czego ślepia wytrzeszczasz? Bydlę! głupcze, tygrysie jeden! Myszy łapiesz? Miau, miau? Co za pamięć piekielna! Tłuste, licho! A mógłbym kupić tego kotka?

— Nie... hm...

— To szkoda, wielka szkoda, żona przepada za tem lichem!... Co teraz będzie? Całą drogę pamiętałem... a teraz zapomniałem. Straciłem pamięć, psiakrew! Zestarzałem się widać, umierać przyjdzie... Tak głośno się gra, ze sztuczkami, uroczyście... Pozwoli pan, że... khm... zaśpiewam.

— Niech pan zaśpiewa... oder, oder... zagwizduje!...

— Gwizdać w pokoju to grzech... U nas tam niejaki Świstalski gwizdał, gwizdał no... i przegwizdał się... Pan Niemiec czy Francuz?

— Niemiec.

— Zaraz poznałem... doskonale, że nie Francuz... nie lubię Francuzów... chru, chru, chru... świństwo! Podczas wojny myszy jedli... Gwizdał w swoim sklepie od rana do nocy i cały swój kram przegwizdał! Cały w długach tonie... mnie ze dwieście złotych winien... Ja niegdyś przyśpiewywałem sobie pod nosem... Hm... Pan pozwoli... Zaśpiewam... Niech pan

czeka. Zaraz... Khm... kaszel... w gardle drapie... — Korytko, strzepnąwszy trzy razy palcami, zamknął oczy i zaśpiewał falcetem:

— La-la-li-la-lo-la... cho-cho-cho, śpiewam tenorem ...a w domu zawsze dyszkantem... pan pozwoli!.. Tri-ra-ra... kchrrm... W zębach coś trzeszczy do licha, tfu! pestka... O-to-o-u-n... kchrrm... Przeziębiłem się chyba... piwa zimnego w karczmie się napiłem... tru-ru-ru... I ciągle tak w górę, a potem wie pan niżej, niżej... Zachodzi tak boczkiem, a potem bierze się górną nutę, taką łamliwą... to-to-ti... ruu... Rozumie pan? a tu basy — gu-gu-gu — tu-tu... Rozumie pan?

— Nie rozumiem...

Kot spojrzał ze zdziwieniem na Korytkę, zaśmiał się niby, i skoczył leniwie z lady.

— Nie rozumie pan?... Szkoda... Zresztą ja chyba nie śpiewam jak należy... Zapomniałem zupełnie.. Ech, co za przekleństwo!

— Niech pan zagra na fortepianie... Czy pan gra?

— Nie, nie gram... grałem niegdyś na skrzypcach na jednej strunie a i to... tak z głupoty... Nie uczono mnie. Brat mój Jan gra. Tego uczyli... Francuz Rocat, może go pan zna... on go uczył. Taki pocieszny Francuzik... ciągleśmy go przedrzeźniali... złościł się. A gębę miał — istna małpa. Zmarły ojciec mój, Panie świeć nad jego duszą, niczego mnie nie uczył... „Dziad twój — mówił zwykle — Rochem się nazywał, i ty Rochem jesteś, a dlatego powinieneś być doń podobny we wszystkich czynach swoich... Tak... na frykasy ci nie zezwolę... Ja, bracie... bracie... ja, bracie tak... ja, bracie na frykasy nie zezwolę, dziad twój, jak trzeba było, koninę jadł i ty koninę jeść będziesz, siodła zamiast poduszki używał!" Będę się miał zpyszna! Zadręczą! A bez nut — lepiej nie wracać! Żegnam pana... przepraszam za fatygę! ...Ile kosztuje ten fortepian?

— Siedem tysięcy!

— Fu-fu-fu... Ojcze Niebieski! To się nazywa: kup fortepian i bez portek maszeruj! Ho-ho-ho! siedem ty... sięcy!!! Niczego sobie! Dowidzenia! Szprechenzi! Gebenzi! Jadłem kiedyś obiad u jakiegoś Niemca... Po obiedzie pytam jednego pana, także niemczura, jak to po niemiecku: „bardzo dziękuję za chleb i sól"... a ten mi mówi... i mówi... zaraz... i mówi... aha... „Ich libe dich fon gancen hercen!" A co to znaczy?

— Ja... kocham cię, — przełożył Niemiec stojący za ladą — z całej sercy!

— A, właśnie! Podszedłem więc do córki gospodarza, nno... i tak... poprostu śmiało powiedziałem... Ta w nogi... Raban był taki, że nie daj Boże... Nno, dowidzenia! Kto nie ma w głowie, ma w nogach... tak i ze mną... z tą pamięcią istna kara boska! Nno, życzę zdrowia!

Korytko otworzył ostrożnie drzwi, wyszedł na ulicę i, uszedłszy z pięć kroków, włożył kapelusz. Jeszcze raz przeklął swą pamięć i zamyślił się...

Myślał o tem jak to przyjdzie do domu, jak wyjdą na jego spotkanie żona, córka i dzieciaki... Żona przejrzy sprawunki, zbeszta go, nazwie jakiemś zwierzęciem — osłem czy wołem... Dzieci rzucą się na łakocie i z gorliwością godną lepszej sprawy zaczną psuć sobie i tak już zepsute żołądki... Wyjdzie na spotkanie Magdzia w niebieskiej sukience z różowym kołnierzykiem i spyta: „Kupiłeś nuty?" Usłyszawszy „nie", burknie coś pod nosem, zamknie się w swoim pokoju, rozbeczy się i będzie płakała aż do obiadu... Potem wyjdzie z pokoju i, zapłakana, przygnieciona rozpaczą, siądzie do fortepianu... Zagra z początku coś żałosnego, zaśpiewa coś poprzez łzy... Pod wieczór Magdzia stanie się weselsza i wreszcie, westchnąwszy głęboko po raz ostatni, zagra swe ulubione: to-to-ti-to-to-to...

Korytko uderzył się w czoło i jak szalony popędził zpowrotem do sklepu.

—To-to-ti-to-to... o-ho-ho!—zaryczał, wpadłszy jak bomba do składu. — Przypomniałem sobie! Oto! to-to-ti-do-to-to!

— Ach... No, teraz rozumiem! To rapsodja Liszta, numer drugi... Hongroise...

— Tak, tak, tak... Liszt, Liszt! Niech mnie kaci biją! Liszt! Numer drugi! tak, tak, tak... kochanie! właśnie to...

— Taak, Liszta trudno odśpiewać... A pan jaką sobie życzy: *original* czy *facilite*?

— Wszystko jedno! aby numer drugi, Liszt! Zuch z tego Liszta! to-to-ti-to... cha-cha-cha! A jednak — przypomniałem sobie! Wedle rozkazu!

Niemiec wydobył z półki zeszyt, zwinął go w rulon wraz z masą katalogów i ogłoszeń i podał promieniejącemu z zadowolenia obywatelowi. Korytko zapłacił dwa złote i wyszedł pogwizdując.

A. Cz.

WESOŁY KĄCIK

Jeden sprawiedliwy.

Znany pisarz rumuński Panait Istrati opowiada w jednem z pism następującą anegdotę:

Książę Cusa (były minister sprawiedliwości w Rumunji) odbywał razu pewnego inspekcję więzienia w pewnej małej mieścinie. Dyrektor ustawił w rząd więźniów i książę zapytał pierwszego z brzegu.

— Cóżeś zbroił?

— Ja? nic...

— Tak? A ty?

— Nic.—Przysięgam, że nic nie zbroiłem

Książe zapytał dalszego:

— Opowiedz, dlaczego siedzisz?

— Nie wiem.

— A ty?

— Jestem także niewinny.

I tak wszyscy w kółko powtarzali, że są niewiniątkami Wreszcie książę stanął przed ostatnim aresztantem.

— Dlaczego tu jesteś?

— Ukradłem.

— Ukradłeś? Co?

— Dwie kury...

— Więc co tu robisz między tymi uczciwymi ludźmi? Ruszaj precz nędzniku!

I zwracając się do dyrektora, rozkazał:

— Natychmiast wyrzucić stąd tego człowieka.

Słuszna konkluzja.

— Mamusiu, dlaczego ciocia Zosia i wujek Karol tak dawno u nas nie byli?

— Bo od miesiąca bawią w kąpielach.

— To dopiero musieli być brudni!

W redakcji.

W redakcji pisma pojawia się mężczyzna i pyta z furją:

— Czy to prawda, że nazwał mnie pan w swem piśmie łotrem?

— Wykluczone! O starych, znanych rzeczach, nie piszemy. Przynosimy tylko nowości.

Dowcipny.

— Ach, jak mnie ten ząb boli!

— Gdyby mnie tak bolał, zaraz bym go kazał wyrwać.

— Zgodziłbym się i ja chętnie, gdyby to ciebie bolał.

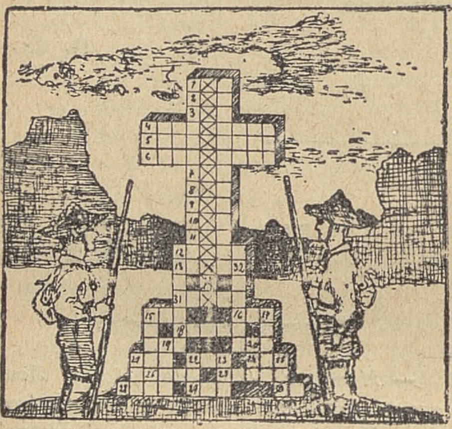
Podczas sprzeczki.

— Nie sądź znowu, ażebym był głupi, aż do tego stopnia.

— A do jakiego?



Logogryf o podstawie krzyżówkowej.



Nad. St DWORAK (Puchaczów)

Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: 1. tatarak (bot. bez „r"), 2. ściana, 3. imię żeńskie zdrob., 4. wyznaczać nagrodę, 5. współzawodnik, 6. zasłona od deszczu lub słońca, 7. imię cygańskie, 8. owad, 9. głębia obrazu, 10. pierwiastek chem., 11. drzewo, 12. piękność, 13. wódz plemienia dzikich, 14. spółgłoska, 15. przyrząd sportowy, 18. rodzaj głosu, 19. rodzaj karty (wspak), 21. imię żeńskie (zdrobn.), 22. pierwowzór, 24. miara powierzchni (wspak, k=e), 26. rzeka w Hiszpanji, 27. stolica państwa europ. w języku tubylców, 28. przykrycie, 29. in. szkic, 30. bożek egipski, 31. zgraja, szajka.

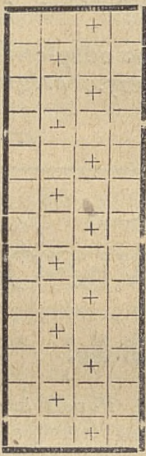
PIONOWO: 13. zwój włosów sztucznych, 15. plemię, (inaczej) 16. ołtarz (w jęz. obcym) 17. monarcha (w Persji), 19. królowa, o której wspomina biblja, 20. zabawa, 21. gniew (w jęz. obcym), 22. droga, 23. partja polityczna w Polsce (Inicjały), 25. rzeka w Szwajcarji, 31. pióropusz, 32. odłam lodu.

W podaną figurę wpisać szereg wyrazów, których litery oznaczone krzyżykami utworzą nazwisko sławnego poety polskiego. [3]

—

Zygzak.

Nad. J. TYRAKOWSKI (Skoków)



ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Zły znak, 2) Jest w każdym domu, 3) Tatarak (inaczej), 4) Sześćdziesiąt, 5) Zwierzę domowe, 7) Rodzaj kręgowców, 8) Drąg poprzeczny, utrzym. żagle, 9) Gatunek, 10) Łódź, mały statek, 11) Napój 12) Zwierzątko owadożerne, 13) Imię szwedzkie.

Należy ułożyć 13 wyrazów o powyżej podanem znaczeniu, a miejsca oznaczone krzyżykami dadzą rozwiązanie. [1]

—

Kwadrat magiczny.

Nad. J. WARSKI (Warszawa)

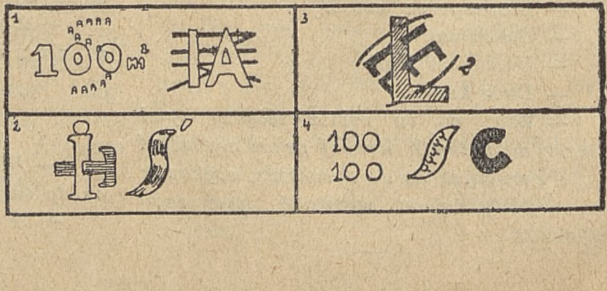
Podane litery tak poprzestawiać by powstał prawidłowy kwadrat magiczny (Jeden z wyrazów czytamy wspak) [1].

A	A	A	A	A
A	E	K	K	K
L	L	O	O	O
O	P	P	R	K
S	S	W	W	Y

—

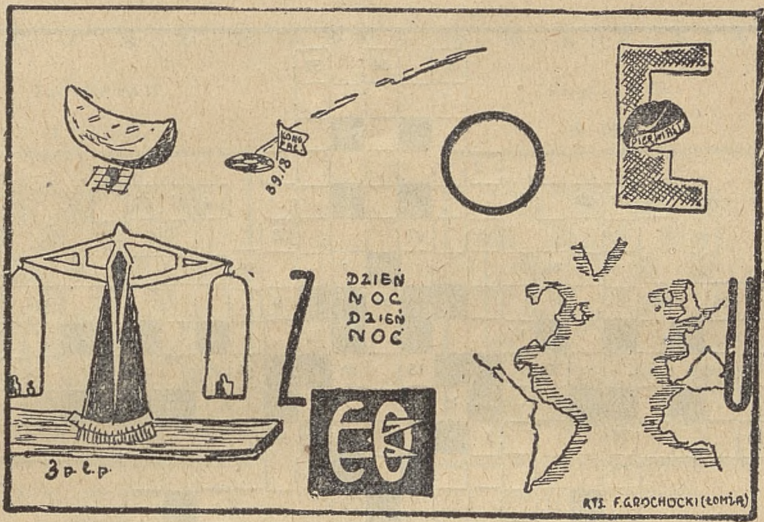
Figliki rebusowe.

nad. FR. GROCHOCKI (Łomża) [.4]



Rebus.

Nad. Fr. GROCHOCKI (Łomża) [3]



Zadanie numizmatyczne.

Ułożył F. GROCHOCKI (Łomża)

10. 11.	1	4. 12.
10.	2	1. 7.
7. 13.	3	6. 1.
14.	4	7.
	5	15. 13. 7. 8.
18. 17. 6. 19. 16.	3	6.
7.	6	11. 14.
15. 6.	7	
	8	11. 1.
19. 11.	9	4. 1.
10. 17.	6	1. 9.

Utworzyć 11 nazw monet, rząd środkowy da rozwiązanie. [2]

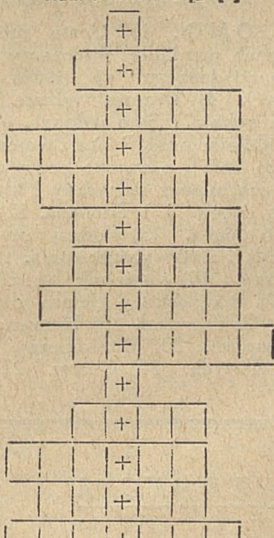
Zagadka łacińska.

Nad. JERZY AS [2]

Ego sum initium mundi
et finis saeculorum.
Omnia per me,
nihil sine me.
Ego triplex sum;
non Deus
sed quis ego sum?

Logogryf.

Nad. J. JASTRZĄB [1]

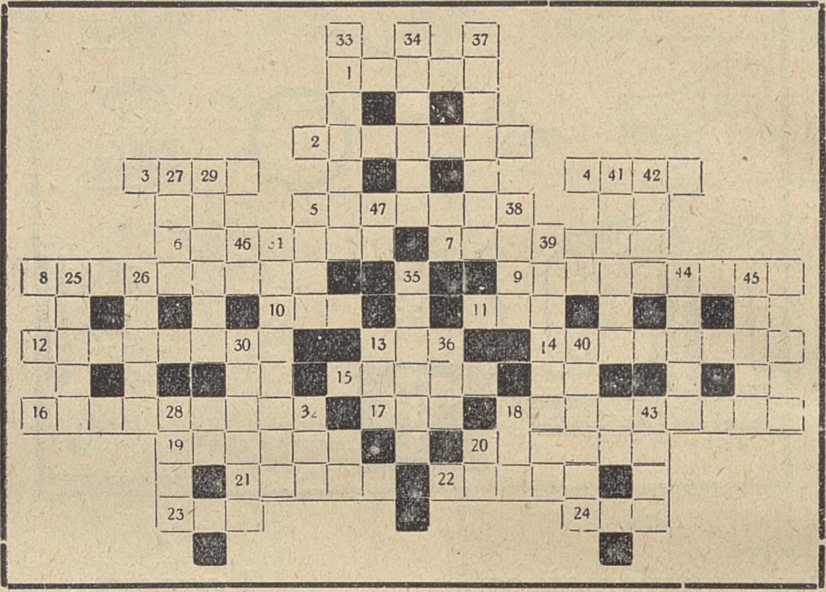


1) Spółgłoska. 2) Część doby. 3) Znany lotnik. 4) Historyk rzymski. 5) Aerostat (inaczej) .6) Sprzęt domowy. 7) Zwierzę w Afryce. 8) Inaczej chwila. 9) Powodzenie inaczej. 10) Rzeka w Polsce. 11) Kraj w Ameryce. 12) Miejsce przedstawień. 13) Dzik samotnik.

Wyrazy oznaczone krzyżykami dadzą rozwiązanie.

Krzyżówka.

Ułożył WIKTOR FEISTER (Kraków)



Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: 1) Uczta pierwotnych chrześcijan na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej. 2) Zasłona od deszczu lub słońca. 3) Rasa psa (wspak). 4) Drzewa iglaste (wspak). 5) Butelka pękata, często ozdobna. 6) Smocze drzewo. 7) Miejscowość znana z wojen persko-greckich. 8) Imię i nazwisko poety polskiego. 9) Dawny instrument muzyczny z klawiszami. 10) Inaczej droga. 11) Trucizna. 12) Kobieta rycerskiego ducha. 13) Rodzaj utworu poetyckiego. 14) Fałszywy skok konia. 15) Przegląd wojskowy. 16) Pustelnik (bez końcowej litery). 17) Przepaska z klamrą dla zacieśniania. 18) Oskarżyciel. 19) Historyczne imię żeńskie (wspak). 20) Mitologiczny przewoźnik dusz zmarłych. 21) Czołgi. 22) Miejsce popisów cyrkowych. 23) Gatunek papugi. 24) Miara powierzchni.

PIONOWO: 25) Zły duch. 26) Smarować, inaczej (końcowe ć=c). 27) Opera Verdi'ego. 28) Dolina górska. 29) Inaczej kelner. 30) Rodzaj pojazdu. 31) Rodzaj warowni, więzienie. 32) Zaimek wskazujący. 33) Wóz pogrzebowy. 34) Gatunek wina. 35) Starożytny wóz dwukołowy. 36) Lód w języku obcym —fonetycznie. 37) Przesadnie nabożna. 38) Korab biblijny. 39) Członek rady miejskiej w Anglji. 40) Rodzaj głosu kobiecego. 41) Ptak śpiewający. 42) Napis na krzyżu Zbawiciela (wspak). 43) Pora dnia (wspak). 44) Rozbójnik morski. 45) Rzeka we Francji. 46) Przyimek (wspak). 47) Bożek egipski. [4]

OD REDAKCJI.

Z powodu braku miejsca odkładamy do następnego numeru następujące działy:

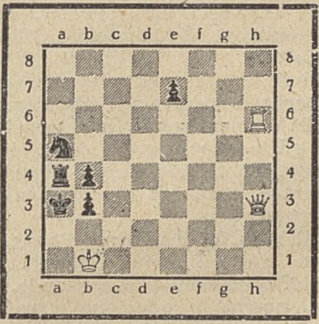
Rozwiązania z Nr. 5 b.r.

Spis uczestników konkursu z Nr. 5 oraz lista czytelników, nagrodzonych premjami.

SZACHY

Zadanie № 21.

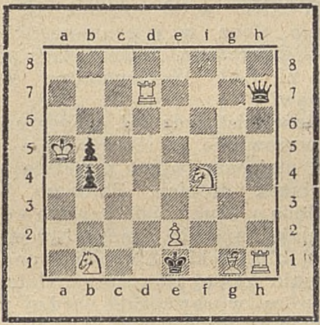
J. Bruski



Mat w 3 posunięciach.

Zadanie № 22.

A. Klir



Mat w 2 posunięciach.

Partja indyjska.

Grana na tegorocznem turnieju w Tenby który się zakończył zwycięstwem Yates'a, wielokrotnego mistrza Anglji.

Białe Watts	Czarne Yates
1. d2 — d4	Sg8 — f6
2. Sg1 — f3	b7 — b6
3. g2 — g3	Lc8 — b7
4. Lf1 — g2	e7 — e6[1])
5. Sb1 — d2[2])	c7 — c5 !
6. d4 × c5	Lf8 × c5
7. c2 — c4	Hd8 — c7[3])
8. 0—0	0 — 0
9. b2 — b3[4])	Sf6 — e4
10. Sd2 × e4	Lb7 × e4
11. Lc1 — b2	Sb8 — c6
12. Sf3 — d4[5])	Le4 × g2
13. Kg1 × g2	f7 — f5 !
14. a2 — a3[6])	Sc6 — e5
15. Sd4 — b5	Hc7 — b7 +
16, Kg2 — g1	Se5 — g4 ![7])
17. Hd1 — d2	f5 — f4 !
18. g3 × f4	Hb7 — e4 !
19. Lb2 — d4[8])	Wf8 × f4
20. f2 — f3? [9])	He4 × d4 + !!
21. Sb5 × d4	Wf4 × d4
22. Hd2 — c1[10])	Wd4 × c4+
23. Kg1 — g2	Wc4 × c1
24. Wf1 × c1	Sg4 — e3 +
25. Kg2 — h3	Wa8 — f8
26. b3 — b4	Lc5 — d6
27. Wa1 — a2	Wf8 — f5
28. Kh3 — h4	g7 — g6

Białe się poddały

UWAGI: 1) Tu grają często c7 — c5, na co Białe mogą odpowiedzieć d4 — d5. Powstają wówczas zawikłane, bardzo trudne pozycje. 2) Lepiej było wyprowadzić skoczka (po uprzedniem e2 — e4) na c3. Na d2 zamyka on własnego Hetmana i oddaje czarnym ważny punkt d5. Czarne bez wysiłku otrzymują teraz wygodną pozycję. 3) Broni zawczasu Lb7. Inaczej Białe miałyby w ciągu dalszej gry możność kombinowania. 4) Jeśli 9Hc2 (żeby nie puścić skoczka na e4), to 9...d5 i białe nie mogą grać 10 c : d z powodu 10... L : f2+! i 11... H : c2 i t. d. 5) Białe dążą do uproszczenia gry przez wymianę figur. Ale posunięcie to nie jest dobre. Czarne rozpoczynają teraz bezpośredni atak. Niezbędne było 12 Hd2 i ewentualnie Hg5 lub Hf4. 6) Albo 14 Sb5, Hb7 15 Sd6? L : d6 16 H : d6. Sd4+ 17 f3 (17 Kg1?? S : e2 mat, albo 17 Kh3? Wf6 ! i t. d.), 17... Se2 i 18... Se3+, wygrywając jakość. Możliwy jest również i inny warjant: 14 S: c6, H : c6+ i 15 f4 z decydującym atakiem. 7) Grozi między innemi 17... Se3 ! 18 fe, L : e3+ 19 Wf2, f4 ! i t. d. z przemożnym atakiem. 8) 19 e3 prowadzi do zguby z powodu 19... S : e3 ! i t. d. 9) Białe miały słabą pozycję, ale po 20 L : c5! bc 21 f3, He3+ 22 H : e3 S : e3 23 Wf1 — c1 i t. d. byłyby miały jeszcze widoki na remis. Posunięcie zrobione w partji przegrywa natychmiast. 10) Pointa całej kombinacji. Białe są zmuszeni do oddania Hetmana; mając wieżę przeciw dwóm lekkim figurom przeciwnika, przegrywają szybko. Zakończenie partji nie wymaga komentarzy.

Z PISM i KSIĄŻEK

J. Ign. Kraszewskiego „POWIEŚCI HISTORYCZNE" w 80 tomach, 10 tomów kwartalnie. Cena w prenumeracie: brosz. 10 zł., — kwartalnie. W sprzedaży pojedyńczej tom Zł. 1.40. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego zostały wznowione w rzeczywiście taniem wydaniu, mającem jednak wszelkie właściwości książek drogich. Zarówno bowiem pod względem druku, jak papieru i okładki, zadawalniają zupełnie i mogą być włączone do każdej bibljoteki. Stanowią one cenne wzbogacenie naszej literatury beletrystycznej, do której wprowadzają bardzo pożądany pierwiastek historyczny.

Cykl ten Kraszewskiego powinien znaleźć się w każdej bibljotece publicznej, szkolnej i korporacyjnej, a większość księgozbiorów prywatnych bez niego się na pewno nie obejdzie.

Por.-pilot Meissner „ESKARDA" Tow. wyd. „Rój".

Publiczność czytająca Francji była przed kilku laty poruszona książką Kessela p. t. „L'equipage", w której autor wprowadza bohatera bezosobowego, mianowicie załogę płatowca, dwóch ludzi, spojonych wspólnym losem i wspólnem niebezpieczeństwem w jedną całość psychiczną.

„Eskarda" por. Meissnera jest odpowiednikiem polskim zagadnienia, poruszonego przez Kessela. Polskim — gdyż przy systemie pracowania eskardą jako ednostką bojową, przyjętym w armji polskiej, bohaterem istotnym powieści staje się jedność duchowa tej polskiej bojowej eskardy w roku 1920, której psychika formuje się jednolicie, niby psychika żywej istoty czującej.

Powieść jest więc nietylko ciekawa ze względu na zawiązek psychologiczny, który czyni jej bohaterem jednostkę zbiorową, t. j. ludzi połową jestestwa wychylonych poza granice życia i śmierci, ale stanowi równocześnie niezmiernie ciekawy dokument. Takie bowiem momenty, jak zestrzelenie trzech „Bleriotów" nieprzyjacielskich, wypad 200 klm. w głąb pozycji bolszewickich na Bobrujsk, spalenie pontonów pod Dęblinem i t. p. sceny, w które obfituje powieść — wzięte są przeważnie z rzeczywistości.

Powieść wstępem opatrzył szef departamentu lotnictwa pułkownik Rayski.

Munoz - Eskames i Munos - Perez. „CZARNY DYKTATOR". Powieść. Przekład Zofji Wolertowej. Wydadnictwo Bibljoteka Powieściowa.

Powieść w starym stylu, z szlachetnymi rycerzami i czarnymi zdrajcami, opisami walk i romantycznych ucieczek, i epilogiem, gdzie kochające pary się łączą szczęśliwie, cnota triumfuje a zbrodnia zostaje ukarana. Przekład w wielu miejscach mocno szwankuje.

„TAJEMNICA FAKIRA". Powieść podróżnicza. Napisał Stefan Gębarski. Wyd. Księgarni Popularnej w Warszawie.

Tytuł powieści odpowiada w zupełności treści książki. Pełno tajemnic i przygód, zbyt przejrzystych dla dorosłych, ale mogących zainteresować młodego czytelnika, dla którego właściwie powieść ta jest przeznaczona.

„NA FALI ŻYCIA". Powieść Alojzego Kuzia. Księgarnia Uniwersytecka Fiszer i Majewski, Poznań.

Gdyby nie kilkurozdziałowy nudnawy wstęp, powieść tę nazwać można byłoby śmiało powieścią podróżniczą, tak malowniczo i wyraziście uwypuklone są przygody dwóch naszych rodaków, rzuconych losem pod skwarne niebo Afryki. Styl oryginalny, lekki, zachowujący bezustanną ciągłość, treść urozmaicona zdrową pełną realizmu sensacją pozostawia po sobie miłe wspomnienie.

Rider Haggard. „ZEMSTA MAIWY". Powieść egzotyczna Tow. wyd. „Rój".

Powieści Haggarda, wprowadzające czytelnika w świat zjawisk tajemniczych a jednocześnie obfitujące w fantastyczne choć z mistrzowskim realizmem opisane przygody, — pozostają dotychczas ulubioną lekturą młodzieży. W książce powyższej spotykamy szereg bohaterów, znanych nam z innych powieści Haggarda. Żywość akcji, plastyczność w odtworzeniu postaci,—znane zalety pióra świetnego pisarza angielskiego, — ujawniają się w pełni w tej nowej powieści Haggarda.

TREŚĆ NUMERU 8-go:

WARUNKI PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ w p. „MÓJ PRZYJACIEL“:
Prenumerata roczna zł. 6.60, półroczna — 3.30,— kwartalna. 1.65, — miesięczna —.60
Za dostawę w Warszawie dolicza się porto 10 gr. od numeru.
Ceny ogłoszeń: Za tekstem cała str.—150 zł., ½ str.—80 zł., ¼ str.—45 zł. ⅛—25 zł.
na okładce cała str.—200 zł., ½ str.—110 zł., ¼—60 zł., ⅛—35 zł.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Bielańska 5, tel. 239-18.
Redaktor B. Petersilie — Wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera
DODATKI BEZPŁATNE: katalog wyd. „Pomoc Szkolna“ H. Wajnera
i prospekt kalendarza „Mój Przyjaciel“.